PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr 11. **31. Sierpnia.** **1875.**

Wychodzi z końcem każdego miesiąca.

REDAKCYA:
Zwierzyniecka Nr 36 w Krakowie.

ADMINISTRACYA:
w księgarni A. Otremby nakładcy w Krakowie.

Cena przedpłaty:
Rocznie: 6. Złr. = 4. Rs. = 4. Tal. = 14. Fran.
Półrocznie: 3. „ = 2. „ = 2. „ = 7. „
Kwartalnie: 1. 50. „ = 1. „ = 1. „ = 3. 50. „
Pojedynczy Nr kosztuje 60 ct. = 35 kop. = 12 sgr. 1 Fr. 25 cent.
Ogłoszenia księgarskie przyjmuje Administracya po 6 ct. od wiersza.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
nakładca A. Otremba księgarz w Krakowie, oraz wszystkie większe księgarnie w kraju i za granicą.

W Warszawie skład główny w księgarni Ferdynanda Hösicka. W Poznaniu I. K. Żupańskiego. — W Paryżu Librairie de Luxembourg.

Treść.

Historya i geografia.

Dr. Jacob Caro: Geschichte Polens. Vierter Teil. 1430—1455. Gotha 1875. str. 501. 8vo.

176] Kiedy cała nowsza szkoła historyczna w Polsce rzuciła się na monografie i na wydobywanie z zapomnienia historycznych źródeł, p. Caro prowadzi niezmordowanie dzieło polegające na przedstawieniu historyi polskiej w jej całości i związku, jako części składowej wielkiego przedsiewzięcia p. t. Geschichte der europaeischen Staaten. Mimowoli rodzi się myśl, że praca p. Caro jest dla nas upokorzeniem. Myśl, że cudzoziemcy w napisaniu historyi naszej nas uprzedzają, mogłaby też rzeczywiście napełniać nas wstydem, gdyby dzieło przez nich wypracowane było „historyą Polski“ w istotnem, pełnem tego słowa znaczeniu, gdyby cudzoziemiec pierwszy odkrywał nam te skarby doświadczenia, jakie przeszłość nasza zawiera. Tak źle dla nas jednakże niejest. Potrzebujemy gwałtownie dobrej książki podręcznej i szkolnej, historyę naszą trzeźwo i z szerszego punktu widzenia przedstawiającej. Możemy się też z czytelnikami podzielić miłą wiadomością, że książka taka (w objętości około 40 ark. druku) wyjdzie z doświadczonych rąk p. Józefa Szujskiego już w najbliższym czasie. Dlatego jednak przekonani jesteśmy, że na skreślenie prawdziwie umiejętnej historyi naszej w całej jej rozciągłości dziś jeszcze nienadeszła pora. Poprzedzić ją muszą i dać jej podstawę wydawnictwa materyałów historycznych, które na wszystkie stosunki rzucą dopiero prawdziwe światło i ogromne luki na każdem miejscu wypełnią, poprzedzić ją muszą monografie nietyle pojedynczych faktów z dziedziny polityki zewnętrznej ile z naszego wewnętrznego rozwoju. Bez tych danych możebną jest jest tylko taka historya, jaką nam daje p. Caro, któremu zresztą ani talentu, ani pracy, ani też historycznej szkoły niemożemy odmówić.

Ostatni tom historyi p. Caro przedstawia nam stosunki polityczne Polski z czasu pomiędzy r. 1430 a r. 1455, kiedy stosunki te po śmierci Witolda zostawały pod dominującym wpływem Zbigniewa Oleśnickiego.

W pierwszej księdze kreśli p. C. zamęt wywołany śmiercią Witolda, z którego Polska dopiero w ostatniej chwili przed zgonem Jagiełły wyszła zwycięzko. Świdrygiełło i supremacya żywiołu ruskiego i kościoła wschodniego szczęśliwie pokonana, stosunek Polski do Litwy określony dokładnie w traktatach z W. Xciem Zygmuntem, Ruś czerwona zjednoczona z Koroną, Podole jej wpływowi ulega. Epizodem walki o unię litewską jest zwycięzka również wojna z zakonem, prowadzona z pomocą hussytów, z któremi Polska w bliższe wchodzi stosunki. Duchowieństwo i panowie polscy, korzystając z zamętu, zdobywają głośny przywilej z r. 1433, który przewagę ich w obec korony stwierdza; kościół w edykcie z r. 1433 osiąga dla wyroków swych bracchium saeculare. Śmierć Jagiełły zamyka ten ustęp z dziejów Polski, a piękną charaterystyką zmarłego monarchy kończy się pierwsza księga w opracowanym przez p. Caro tomie IV. historyi.

Księga następna poświęcona panowaniu Warneńczyka. Koronacya króla i ustanowienie rządców kraju w czasie jego nieobecności staje się hasłem do organizacyi dwóch obozów, z których jeden ze Zbigniewem Oleśnickim na czele politykę kościelną, drugi politykę wybitnie narodową z pewną przymieszką hussytyzmu miał na oku, a które zarówno w polityce zewnętrznej jako też w sprawach wewnętrznych wrogo naprzeciw siebie stanęły. Jest to chwila największej potęgi Polski. Zwycięztwo W. Xcia Zygmunta i Polaków nad Świdrygiełłą w bitwie z r. 1435 rozstrzyga ostatecznie o losie Litwy i Rusi, niwecząc ich samodzielność, pokój Brzeski zawarty w r. 1436 z Prusami odrywa zakon od państwa niemieckiego i toruje drogę do inkorporacyi Prus. Cesarz Zygmunt umiera w chwili, kiedy polityka jego przeciw Polce skierowana doznaje stanowczej klęski.

Polska zwraca swoje oczy na zewnątrz. Na pierwszym planie stoi osadzenie Jagiellonów na tronie czeskim. Przedsiewzięcie to jednak podjęte przez stron-

nictwo narodowe w Polsce a przez hussyckie w Czechach upada dla braku poparcia w Czechach, a w upadku swym gotuje zarazem w r. 1439 ruinę skrajnemu odcieniowi stronnictwa narodowego w Polsce. Zgniecenie pojawów hussytyzmu w Polsce, pierwszy rokosz, i pierwsza konfederacya na tę przypadają chwilę.

Daleko głębszą podstawę posiadała zdaniem p. Caro unia Polski z Węgrami, bo opierała się na wspólności interesów i na podobieństwie wewnętrznego ustroju obu państw. Zaledwie też upadła polityka czeska a już stronnictwo kościelne podjęło politybę węgierską w celu zwrócenia sił obu narodów przeciw półksiężycowi. Władysław osadzony staraniem Oleśnickiego na tronie węgierskim znalazł dość siły, aby się na nim utrzymać. Atoli następstwa polityki Oleśnickiego są dla wewnętrznego rozwoju Polski największem nieszczęściem. Pierwszym jej skutkiem było odwrócenie uwagi od Litwy, która zostawiona sama sobie podniosła nie Władysława ale brata jego Kazimierza na godność wielkiego księcia i faktycznie w zupełnej niezależności od Polski się utrzymała. Drugi skutek sięga nader daleko i nieda się nigdy dostatecznie obliczyć. Siły Polski, które po pokonaniu nieprzyjaciół winny się były do pracy wewnętrznej i utrwalenia ustroju społecznego i politycznego obrócić, marniały bezużytecznie w awanturniczych na Węgry wyprawach. Polska pozostawiona bez króla, kiedy go najwięcej potrzebowała, zamiast zdobyć się na silny monarchizm i centralizacyę, przyzwyczajała się do przedwczesnego samorządu, oligarchia rozdrapując dochody królewskie nauczyła się uważać króla za czystą ideę a sama władzę królewską garnęła w swe ręce.

Wśród takich wewnętrznych stosunków rozwija się krucyata Władysława przeciw Turkom, popierana najgoręcej przez Zbigniewa Oleśnickiego, a rozstrzygająca zarazem o stanowisku dworu polskiego w obec soboru Bazylejskiego, które niezgadzało się ze stanowiskiem doktrynerskiem Uniwersytetu krakowskiego i z życzeniami stronnictwa narodowego między szlachtą i duchowieństwem polskiem. Klęska pod Warną spada nagle jak grom, kładzie koniec polityce Oleśnickiego i w dziejach Polski nową fazę otwiera.

Księga trzecia w dziele p. Caro obejmuje czas od r. 1444 do 1454, bezkrólewie i panowanie Kazimierza Jagiellończyka aż do wybuchu wojny pruskiej. Młody król zasiadłszy na tronie, który od śmierci Jagiełły faktycznie był opróżnionym, pracuje nad jego utrwaleniem i zdobyciem sobie stanowiska w obec Litwy, w obec partyi kościelnej i w obec szlachty. Kazimierz utrzymuje unię personalną z Litwą nadając tejże głośny przywilej z r. 1447, przyprowadza do skutku uznanie papieża Mikołaja Vgo przez Polskę, zdobywa sobie wpływ na stosunki kościelne w walce o obsadzanie beneficyów, a upokarza statutem z r. 1451 o kardynalstwie Zbigniewa Oleśnickiego, usuwając się z pod jego przewództwa, ale Zbigniew stając na czele szlachty, która polityki królewskiej w małoduszności swej nieumiała należycie ocenić, bierze odwet na Kazimierzu Jagiellończyku na sejmie z r. 1453, zadając dotkliwy cios powadze królewskiej. Dopiero wypadki z r. 1454, przyjęcie inkorporacyi Prus wbrew radzie Oleśnickiego usuwają w przeddzień jego śmierci stanowczo jego politykę, chociaż nieusuwają następstw tej polityki, pomiędzy któremi najszkodliwszem jest podkopanie powagi królewskiej.

Obraz dziejów polskich z połowy XVgo stulecia w ten sposób przez p. Caro skreślony o wiele jest zupełniejszym od podanych w tomie drugim i trzecim dziejów lat 1300—1430. Przyczynę łatwo odgadnąć. Jest nią ta okoliczność, że historya Polski z czasów Zbigniewa Oleśnickiego znalazła spółczesnego historyka w Długoszu. Długosz służy więc dzisiejszemu badaczowi za nieprzerwany wątek, który tylko z innych luźnych zródeł krytycznie sprawdzać należy. Praca też p. Caro ma tę zasługę, że całość faktów albo ponownej poddaje krytyce, albo też nawet po raz pierwszy naukowo obrabia.

W obec tomów poprzedzających tom czwarty ma nadto inne niewątpliwe zalety.

Autor im dłużej nad dziejami Polski pracuje, tem więcej niemi się widocznie przejmuje, z tem większem traktuje je zamiłowaniem, tem skromniejszym w sądzie swym historycznym i przychylniejszym się staje. Niespotkaliśmy w tomie czwartym sarkazmów, które w dawniejszych uczucie nasze częstokroć raziły, niespotkaliśmy okrzyków tryumfu, w które dawniej popadał p. C., gdy mu się udało chwycić którego z kronikarzy polskich na przesadnem i upiększonem przedstawieniu dość błachego nieraz faktu n. p. liczby walczących i poległych. Autor w poglądzie na stosunki Polski z Litwą, z Czechami nawet z zakonem krzyżackim zajmuje już stanowisko spokojne i niemal że polskie — a wyjątkowo z widoczną niechęcią traktuje tylko Zbigniewa Oleśnickiego. Chybił przezto niewątpliwie celu, bo sąd swój o Oleśnickim, na który zresztą niej eden mógłby się zgodzić, podał w podejrzenie. Wielkie zalety ale zarazem ogromne błędy Oleśnickiego występują tem więcej, im spokojniej, im beznamiętniej się je rozważa. Zresztą czytając tom IVty ujrzeliśmy jeszcze w jednem miejscu rozlaną żółć cudzoziemca. P. Caro przechodząc do skreślenia polityki polskiej dążącej do odzyskania Szląska, traci zimną krew, zapoznaje niezmierną doniosłość, jaką powrót Szlązka musiałby mieć dla Polski, i przedstawia całą rzecz z niemieckiego stanowiska z nietajoną zawiścią. Jest to jednakże szczegół, który w ogólnem przedstawieniu ginie. Dodajmy zaś, że sposób przedstawienia rzeczy u p. C. jest wcale plastyczny i pewnem ciepłem wewnętrznem przejęty, że autor stara się z pewnym nawet entuzyazmem piękne strony z przedmiotu wydobyć, a pojmiemy, że dzieło czyta się z prawdziwem zajęciem i zadowoleniem.

A jednak jak to już powiedzieliśmy na wstępie historya p. Caro historyą polską w pełnem, prawdziwem tego słowa znaczeniu zwać się niemoże. Twierdzenie to musimy usprawiedliwić.

Nie będziemy robić autorowi stanowczego zarzutu z tego, że tu i owdzie fakt gdzieindziej już wyświecony błędnie przedstawił, że źródło jakieś lub monografię pominął lub dostatecznie go dla historyi swej wyczerpnąć i zużytkować nieumiał (np. Otia Cornicensia Romanowskiego). Są to usterki, od których żadne dzieło ludzkie wolnem nie jest. Niemożemy również od autora wymagać, ażeby wszystkie archiwa nasze przetrząsnął i z nich cały ogrom źródeł rękopiśmiennych, który się w nich ukrywa, wydobył. Sądzimy jednak, że w punktach stanowczych, od których całe przedstawienie rzeczy i pogląd historyczny zależy, nie może się historyk, jak to czyni p. Caro, ograniczać do rzeczy już znanych, ale powinien koniecznie sięgnąć głębiej i przedsięwziąć

samoistne poszukiwania, o ile takowe niemożebnemi nie są. Takiemi punktami w dziejach tomem czwartym pracy p. C. objętych jest np. zachowanie się Zbigniewa Oleśnickiego, oraz stanowisko naukowe i polityczne akademii krakowskiej. Do jednego i do drugiego przedmiotu stały panu Caro otworem archiwa krakowskie a pominięcie ich i stawianie hipotez, tam gdzie można było osiągnąć historyczną pewność, czyni pracy p. C. ogromną ujmę, tem więcej że sąd jego o Oleśnickim niewypada przychylnie.

Jest również w XVtym wieku kwestya, której przed napisaniem ogólnych dziejów trzeba osobne poświęcić studyum i dokładną z niej zdać sobie sprawę. Jest to kwestya zjazdów, wieców, sejmów, sejmików. Na nich toczyły się wszystkie polityczne walki. Nieznając ich istoty, nieznając dokładnie ich rozwoju i organizacyi, niepodobna zupełnie walk tych i historyi polskiej w wieku XVtym z należytą ścisłością przedstawić. Otóż p. Caro zatrzymuje się wprawdzie nad wybitniejszymi faktami odnoszącemi się do historyi sejmowania naszego, ale zastanawia się nad każdym faktem oddzielnie, wacha się na wszystkie strony i widoczną rzeczą opowiadania swego nieopiera na żadnym trwalszym jednolitym poglądzie na istotę naszych sejmów i zjazdów.

Ważniejszy jednak zarzut mamy podnieść przeciw samej metodzie historycznej, którą p. C. się posługuje. Autor obiera politykę i stosunki zewnętrzne jako wątek dla swej opowieści, jako ramy, w których historyę Polski przedstawia. O stosunkach wewnętrznych, o najważniejszych ustawach wspomina wprawdzie we właściwem im chronologicznie miejscu, podaje ich treść i bada polityczne pobudki, które na ich powstanie wpłynęły, ale ani znaczenia ich ani wpływu jaki wywarły należycie nam nierozświeca. Ustępy też odnoszące się do przywileju Jagiełłowego z r. 1433, do edyktu contra excommmunicatos, do konkordatów z r. 1440, 1447, do przywileju Kaźmierza Jagiellończyka w r. 1447 dla Litwy są niewątpliwie najsłabszemi w ostatniej publikacyi p. Caro. Autor przyrzeka wprawdzie kilkakrotnie, że w następnym tomie poda nam oddzielny obraz stosunków wewnętrznych, jak to już w tomie 2gim odnośnie do wieku XIVgo uczynił. Taka jednak metoda, takie rozerwanie stosunków wewnętrznych i zewnętrznych, które w najściślejszym ze sobą zostawały związku najmniej właśnie jest uzasadnioną. Jeżeli w której historyi, to z pewnością w historyi polskiej nie polityka zewnętrzna, nader chwiejna i zmienna, ale dążenia na polu reform wewnętrznych stanowią podstawę całego rozwoju a historyi nadają nieprzerwaną ciągłość. W okresie czasu, który p. Caro ostatnim tomem objął, dążenia te pozostawiły po sobie cały szereg wielemówiących pomników. Idąc za śladem tych pomników winien był autor nie rok 1430 ale rok 1420 obrać za początek nowego okresu. Ważniejszemi od śmierci Witolda były statuty Trąby, przywilej Czerwieński i ustawodawstwo warteńskie, które się stały podstawą całego późniejszego ruchu. Wystąpiły do walki władza królewska, hierarchia kościelna, hierarchia świecka i budząca się do życia politycznego szlachta. Możnowładztwo kościelne i świeckie zawarło z sobą sojusz w zgubnej walce o przywileje z r. 1433, ale osiągnąwszy przewagę nad tronem rozszczepiło się wkrótce w swoich dążeniach. Niezaprzeczona przewaga była po stronie kościoła, który statutom Trąby z r. 1420 praktyczne nadawał znaczenie. W usiłowanych a do rzeczywistego skutku niedoprowadzonych konkordatach mamy dowody zaciętej walki, między duchowieństwem a możnowładztwem, która zarazem stanowiła szkołę życia politycznego dla szlachty stającej wespół z panami przeciw rozszczeniom kościoła. Z powołaniem na tron Kazimierza Jagiellończyka walka nową przybiera postać, zaostrza się bowiem przedewszystkiem między kościołem a tronem. Wówczas to kościół chwyta się najniebezpieczniejszego środka. Zaspakajając w r. 1447 napozór szlachtę, wprowadza ją urzędowo na arenę politycznego życia, wiedzie ją pod hasłem swobód przeciw władzy rządowej. Szlachta pojmuje wybornie siłę swego stanowiska rozjemczego pomiędzy duchowieństwem a królem i w ustawodawstwie nieszawskiem narzuca się obu dotychczasowym czynnikom władzy za pana, burząc zarazem równowagę społeczną i otwierając nową w rozwoju wewnętrznym Polski erę. Ustawodawstwo nieszawskie z r. 1454 jest zwycięstwem i najwymowniejszem świadectwem dążeń szlachty, objawionych nieśmiało po raz pierwszy w przywileju czerwieńskim z r. 1422.

Ustawodawstwo więc polskie z lat 1420—1454, zbadane sumiennie i ze znajomością rzeczy, dałoby nam właśnie dla swego nieprzerwanego związku daleko prawdziwszy, prosty a imponujący obraz rozwoju Polski w tym czasie, niż najskrupulatniejsze skreślenie wszystkich stosunków dyplomatycznych, wysokich polityk i osobistych ambicyj. Wojny pruskie, nieustanne zatargi z Litwą, polityka czeska, krucyaty węgierskie i tp. wszystko to są chwilowe burze, które ponad rozwojem wewnętrznym Polski w tym okresie przeciągają, rozwój ten chwilowo mącą lub posuwają, ale wstrzymać go niesą bynajmniej w stanie. Historyk kreślący dzieje lat owych powinien więc z gruntownego studyum stosunków wewnętrznych wynieść zrąb całego przedmiotu a obrazem polityki zewnętrznej dopiero go miejscami dopełnić. Odwrotnie postąpił sobie p. Caro.

Zajęty wypadkami, które wyraziściej wpadały mu w oko, nietylko niedał zupełnego obrazu rozwoju Polski z połowy XVgo wieku ale np. zaignorował zupełnie nowy czynnik wstępujący z taką potęgą w życie polityczne Polski — szlachtę. Milcząc ciągle o szlachcie, niewiemy jak p. Caro potężny jej występ z r. 1454 w dalszej swej pracy usprawiedliwi.

Nieprzeceniając jednak historyi Polski przez p. Caro pisanej i zdając sobie sprawę zarówno z jej usterków jakoteż z wad zasadniczych, tem chętniej uznajemy jej zalety i dalecy od głosów niechęci, jakie u nas częstokroć przeciw pracy p. Caro się odzywają, jesteśmy mu wdzięczni raz zato, że mnóstwo faktów z dziejów naszych krytycznie wyświeca, a powtóre, że znajomość tych dziejów ze stanowiska ogółem nader nam przyjaznego na szersze rozmiary czyni zagranicy dostępną. *M. B.*

Józef Łukaszewicz: Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie krotoszyńskim od najdawniejszych czasów aż po rok 1794. Tom I, 1869, 8vo 470 str. Tom II, 1875, 8vo XXXII i 263 str. z portretem autora. Poznań I. K. Żupański.

177] Kilkanaście lat temu powzięło Towarzystwo Poznańskie Przyjaciół Nauk zamiar wydać historyczno-statystyczny opis wszystkich miast i wsi Wielkiego Księstwa Poznańskiego. W latach sześćdziesięciu zbie-

*

rano skrzętnie w całem Poznańskiem materyały do takiego dzieła, lecz do wykonania jego nie przyszło, bądź to z powodu ogólnej niechęci i apatyi, bądź też z innych nieznanych nam przyczyn. Józef Łukaszewicz, znany historyk, zmarły w sędziwym wieku niedawno, wyręczył Towarzystwo, wydając na własną rękę, o własnych siłach historyczno-statystyczny opis miast i wsi powiatu krotoszyńskiego, w którym sam ostatnie lata życia swego przepędził. Pierwszy tom dzieła tego, jeszcze za życia jego w r. 1869 wydany, ze zwykłą mu krytycznością, sumiennością i prawdziwie mrówczą pilnością opracowany, zawiera tylko jeden obwód tego powiatu: Kobyliński, drugi tom, wydany świeżo po śmierci autora, dwa dalsze obwody borecki i krotoszyński, trzeci, którego autor już w całości nie opracował, ma zawierać materyały do reszty tego powiatu. Jeżeli jednak autor zebrał już i uporządkował materyały do trzeciego tomu, to możeby lepiej było powierzyć odpowiedniej osobistości opracowanie tych materyałów i wydać tom trzeci według nich ukończony tak jak poprzednie.

Nie myślimy się tutaj wdawać w rozbiór wszystkich szczegółów dzieła tego, chcielibyśmy tylko po krótce zdać sprawę z jego treści, zwłaszcza że, co nas wielce zadziwia, do tomu pierwszego nie dołączono wcale spisu treści, do tomu drugiego tylko bardzo ogólnikowy, a dzieło takie obfitujące w mnóstwo drobnych szczegółów, dat i wskazówek bez dodanego starannego indexu osób i miejscowości traci niesłychanie na wartości. Prosilibyśmy więc wydawcę, aby koniecznie zechciał przy tomie ostatnim dodać taki index. Większą część tomu pierwszego zajmuje przeważnie opis i historya małego miasteczka Kobylina. Widzieć ztąd możemy, jak bogatymi materyałami rozporządzał autor, z jaką skrzętnością zbierał i wyzyskiwał wszelkie dawne zabytki przeszłości naszej, czy to w archiwach małych miasteczek, czy to w zbiorach sądowych, kościelnych i t. d. porozrzucane.

Przedstawiwszy na samym czele najdawniejsze początki miasteczka tego, podaje nam w chronologicznym wykazie dziedziców jego, kreśli obraz domów mieszkalnych i innych budynków, wylicza ludność miasta w ogólności i w rozmaitych wiekach, o ile ona ściśle oznaczyć się dała, przechodzi potem do ludności według podziału na narodowości, osobne oddziały poświęcając Żydom, Niemcom, Czechom, Szkołom, dalej do ludności według stanów: szlachty, mieszczan i chłopów, kreśli umiejętnie rys stosunku mieszczan kobylińskich do swych panów, ciężary mieszkańców dla dworu w różnych epokach, ciężary rządowe stałe i niestałe, mówi wreszcie o stosunkach mieszczan kobylińskich do szlachty w ogólności i o dobrobycie mieszkańców w rozmaitych epokach. Następny rozdział poświęca zwyczajom, obyczajom i stanowi moralnemu mieszkańców, potem ich zabawom, mianowicie bractwu strzeleckiemu, handlowi, przemysłowi i rzemiosłom. Przy rzemiosłach zastanawia się nad pojedynczemi cechami: najdawniejszym garncarskim, rzeźnickim, szewskim, płóciennickim, kuśnierskim, kotlarskim, kowalskim, krawieckim, sukienniczym, piekarskim, młynarskim i tak zwanym „łatanym.“ Po rzemieślnikach objętych różnymi cechami wspomina autor o rzemieślnikach luźnych: garbarzach, olejnikach, piernikarzach, piekarzach, organmistrzach, postrzygaczach. W obszernym następnym rozdziale zajmuje się najprzód magistratem w ogóle, potem obowiązkami pojedynczych członków jego i sprawami, które do niego należały, przedstawia więc nasamprzód dochody miasta i wagę, targowe, dyszlówkę, brukowe, łaźnie, kram na ratuszu, a potem długi miasta. Dalej kreśli obraz i dzieje gmachów publicznych i zamku, ratusza i wagi miejskiej, potem kościołów i fary wraz altaryami i bractwami jej, jako to altaryi literackiej, różańcowej, św. Aniołów Stróżów, miłosierdzia Pana Jezusa, bractw różańcowego, miłosierdzia Pana Jezusa, św. Aniołów Stróżów, św. Trójcy, Przemienienia Pańskiego, św. Krzyża, — kościoła szpitalnego św. Ducha, kościoła i klasztoru OO. Bernardynów wraz z bractwami i pomnikami w tym kościele zachowanymi, kościoła ewanielickiego (dołączone są drzeworyty kościoła parafialnego i OO. Bernardynów). Załatwiwszy się z gmachami publicznemi, przechodzi autor do zakładów dobroczynnych i szkół, a mianowicie szpitalu katolickiego, szkoły katolickiej, szkoły dziewcząt. Następnie kreśli życiorysy ludzi uczonych rodem z Kobylina: Macieja z Kobylina, profesora teologii w akademii krakowskiej, Jakuba z Kobylina, współucznia Mikołaja Kopernika, Jana z Kobylina, mistrza nauk wyzwolonych w akademii krakowskiej, Piotra z Kobylina, słynnego lekarza w XVI wieku, Andrzeja Glabera, autora wielu dzieł uczonych. Na dalszych stronnicach spisuje kronikę ważniejszych wypadków zaszłych w miasteczku i na tem kończy (str. 250) wyczerpujące przedstawiony a wiele nader zajmujących szczegółów zawierający opis Kobylina.

Dalsza część pierwszego tomu poświęcona jest wsiom obwodu kobylińskiego. „Nim do historyczno-statystycznego opisu każdej z osobna wsi w dzisiejszym powiecie krotoszyńskim przystąpię,“ powiada autor na czele, „wypada mi powiedzieć wprzód kilka słów o mieszkańcach wsi w dawnej Wielkopolsce, o ich wzajemnych do siebie w biegu czasów stósunkach, ich zajęciach, kulturze i w ogóle gospodarstwie wiejskim w wielkich jego gałęziach za dawnych czasów polskich.“ Jest to dla dziejów całej Rzeczypospolitej najważniejszy i bardzo zajmujący rozdział dzieła tego, zawierający niezliczone szczegóły wielkie doniosłości i o pochodzeniu szlachty i chłopów, o sołtysach, młynarzach, kmieciach, karczmarzach, półkmieciach, chałupnikach, zagrodnikach, komornikach. Nie mniej zajmujący jest drugi rozdział wstępu o wsiach polskich, którego treść: Postać wsi naszych w dawnych czasach, zabudowań folwarcznych, dworów szlachty, ludność wiejska, uprawa roślin, chów zwierząt domowych, ogrodnictwo, pszczelnictwo, rybołóstwo, leśnictwo, łowiectwo, jedwabnictwo, administracyo wsi, dóbr całych, liczba wsi w dawnej Polsce i ludność wiejska.

Po tym obszernym i wielce zajmującym ustępie przechodzi autor do opisu pojedyńczych wsi obwodu kobylińskiego w alfabetycznym porządku i podaje nam bardzo liczne prawie bez wyjątku z rękopiśmiennych archiwalnych materyałów wyjęte szczegóły o nich.

W licznych adnotacyach dostała się przy tem sprawiedliwa i ostra odprawa znanemu zajadłemu Polakożercy Henrykowi Wuttke, który w książce swojej tendencyjnej Städtebuch des Landes Posen porozsiewał niezliczone oszczerstwa i kłamstwa o dawnych stosunkach u nas.

Nie tak bogaty i co do objętości i co do treści jest tom drugi, choć zawiera dwa obwody borecki i krotoszyński. Nie wina atoli w tem autora, który i tu z pra-

wdziwie mrówczą skrzętnością zbierał z najróżniejszóch źródeł, przeważnie archiwalnych, materyały, lecz wina raz tego, że autor już w pierwszym tomie załatwił się z ogólną częścią a ta zawiera najobfitszy plon trafnych spostrzeżeń, mających szersze znaczenie, a potem przedewszystkiem tego, że miasteczka, których opis historyczno-statystyczny autor tutaj kreśli, a mianowicie Borek, Zduny, Krotoszyn i Koźmin, nie dały się dla braku materyału tak dokładnie i szczegółowo opisać, jak miasto Kobylin, które samo zajęło przeszło połowę pierwszego tomu. Mimo to jednak i ten tom przynosi bogaty plon ciekawych i nowych dat, a życzyćby sobie wypadało, żeby i inne powiaty Wielkiego Księstwa Poznańskiego zdobyć się potrafiły na podobne z taką starannością i znajomością rzeczy ułożone opisy, dzisiaj tym ważniejsze w obec germanizacyjnych tendencyj rządu pruskiego, zmieniającego do tego stopnia nawet nazwy polskich miejscowości, że nie za długo nie łatwo się będzie można zoryentować w tej dawnej części Rzeczypospolitej Polskiej. Zasługę autora zaś tym wyżej powinniśmy cenić, jeśli zważymy, że materyały do swej pracy miał brać prawie wyłącznie z pierwszej ręki to jest z archiwów miejskich, kościelnych, grodzkich i ziemskich. Wiadomo bowiem, że ze wszystkich części dawnej Rzeczypospolitej Wielkopolska posiada dotąd najmniej dyplomatów wydanych; z kodexów dyplomatycznych prawie wcale korzystać autor nie mógł. Słusznie więc uczynił, że w notach podał mnóstwo przywilejów, wyciągów z aktów i t. d. w oryginale i w całem brzmieniu, lecz bez dodania na końcu dzieła szczegółowego indexu osób i miejscowości cenny ten materyał staje się prawie straconym dla badaczów naszych.

Drugi tom poprzedza sympatycznie i ze znajomością rzeczy przez niewymienionego autora napisana biografia ś. p. Józefa Łukaszewiaza, za którą należy się podziękowanie autorowi i wydawcy.

Samo wydanie atoli starannością się nie odznacza, błędów drukarskich, jak zwykle w polskich dziełach, nie brak a niedbalstwo korekty posunięte do tego stopnia, że całe dwa rozdziały o Koźminie wydrukowano razem z opisem Krotoszyna (tom II str. 222—226) zamiast na końcu opisu Koźmina to jest po str. 235. Opis Koźmina więc nie zaczyna się na str. 227, jak podano w opisie, lecz na str. 222, bo — jak powiedziałem — dwa ostatnie rozdziały opisu Krotoszyna odnoszą się w rzeczywistości do Koźmina. Przyznać musimy, że takiej grubej, pomyłki nie napotkaliśmy nawet w dziełach bardzo niedbale wydanych, jakich u nas nie brak. *X. L.*

Dr. Fligier (z Poznania): **Beiträge zur Ethnographie Kleinasiens und der Balkanhalbinsel.** Eine ethnographische Studie. Breslau. 1875. str. 32. 8vo.

178] Pytanie, do którego odłamu wielkiego indogermańskiego szczepu, europejskiego czy azyatyckiego, należy policzyć ludy zamieszkujące półwysp bałkański, a mianowicie Illyrów i Thraków, nie od dzisiaj zaprząta umysły badaczów tak historyi jak i języków europejskich ludów. Szafarzyk, Lelewel, Bielowski, Spiegel, Cuno, Hahn, Lagarde, Lejean, Roessler i inni podejmowali ponownie tę kwestyę, zasługującą ze wszech miar na uwagę, ponieważ ścisłe oznaczenie etnograficznego stanowiska tych narodów wyjaśniłoby znacznie dawne losy Indogermanizmu na europejskim gruncie. Thrakowie bowiem, pospołu z należącymi do nich Dakami i Getami, jak i Illyrowie z pokrewnymi im Pannonami i Wenetami stanowią massę centralną, wiążącą się węzłami analogii języka, zwyczajów i podań z wszystkiemi pograniczemi ludami. Są oni blizcy Grekom, ale tak samo Frygom, a przez tych Armeńczykom i szczepom erańskim; z drugiej strony znajdujemy bardzo poważne ślady pokrewieństwa ich z Litwinami, Słowianami, Germanami i Celtami. A przecież — wszystkie owe gorliwe badania nie zdołały dotąd wyjaśnić tej kwestyi i owszem, coraz więcej zdaje się ona zaciemniać i coraz to nowe powstają wątpliwości. Nawet plemienność Scytów, których Eranizm zdawał się nie podlegać wątpliwości, stała się znowu otwartą kwestyą, Cuno (Forschungen im Gebiete der alten Voelkerkunde. Berl. 1871) wystąpił z twierdzeniem, że Scytowie są praojcami Słowian, a jego dowodom przyznał nie poślednią wartość mąż takiego znaczenia naukowego jak Spiegel (Die Scythen der Alterthums. Ausland Nr 31. Jahrg. 1871), który sam przecież za Eranizmem Scytów przemawia. Czystość rasy południowych Słowian, nie zdradzająca żadnego zmieszania z obcymi zupełnie pokoleniami, daje dużo do myślenia i kto wie czy śmiałym kombinacyom Lelewela i Bielowskiego, którzy usiłowali dowieść pokrewieństwa ludów trackich z plemionami słowiańskiemi, w części przynajmniej nie zostanie cześć przywrócona (cf. Hellwald: Ethnologie der Balkanlaender. Ausland. Nr 49 i 50 Jahrg. 1872). Przyczyną tej niepewności panującej na tym polu badań starożytniczych jest zatrata prawie zupełna najwalniejszej cechy etnograficznej tych ludów, t. j. ich języka i wciąż jeszcze są prawdą słowa Wiktora Hehna (Kulturpflanzen und Hausthiere in ihrem Übergang aus Asien nach Griechenland und Italien und dem übrigen Europa. Berlin 1870 p. 14), że „w ugrupowaniu tych ludów jesteśmy ograniczeni na pojedyncze spostrzeżenia, których wartość temu tak, innemu inaczej ocenić dozwolone.“

Pilna i umiejętna praca p. Dr. F. nie zmieniła, według naszego przekonania tego położenia rzeczy. P. F. raczej rozciął, aniżeli rozwiązał zawiłą kwestyę etnograficznego stanowiska ludow bałkańskich, w czambuł policzył wszystkie ludy mieszkające od zachodniego krańca centralno-azyatyckiej wyżyny aż po Skardus do Eranów (str. 5) i jako rezultat swych badań podaje (st. 27): „W małej Azyi i na półwyspie bał„kańskim należy odróżnić trzy grupy ludów: 1) Ludy „tracko-frygijskie, będące członkiem łączącym Scytów „i Armeńczyków. 2) Ludy illyrskie, których stanowisko „w pośród indogermańskiej rodziny nie jest jeszcze „ściśle oznaczonem. 3) Lykiów, najstarszy i najwięcej „ku południowi wysunięty szczep Małej Azyi, będący „jednocześnie pierwotnymi mieszkańcami Grecyi.“

Z wyjątkiem zdania umieszczonego pod Nr 2, a różniącego się od innych swym negatywnym rezultatem, są to tezy, możliwe, nawet prawdopodobne, ale — dowody autora nie są wystarczające. Mianowicie eranizm ludów thrackich i pierwotnych mieszkańców Hellady, jest i teraz jeszcze naszem zdaniem, bardzo wątpliwym. Czy wyraz thracki *βρίζα*, oznaczający zboże z którego złą mąkę robiono, oczywiście zatem żyto, należy łączyć z skr. rrihi, jest jeszcze wątpliwem, jak to wykazał Hehn w cytowanem już powyżej wybornem swem dziele (Anm. 5 u. 6. p. 397, 398, 401, 402), a w danym razie może być przyjętym obcym wyra-

zem. Oznaczeniu trackiemu na wino ζειλα zabraknie analogii w północnych językach (lit. żalas-zielony, żelti-zielenić się, żole-trawa; słów zelije-zioła i t. d.), a wreszcie jest zupełnie naturalnem, że winna latorośl wędrując z swej ojczyzny na południe Kaspiskiego morza przyniosła z sobą i tamtejsze swe nazwisko do Thracyi, jak w Grecyi, dokąd przybyła ze Syryi, zaaklimatyzowała się pod nazwiskiem οἶνος, widocznie pokrewnem z hebr. yain. — Owe rzeczywiście czysto erańskie imię jakiegoś ludu trackiego Σαραπαραι - ucinacze głów, nie dowodzi niczego; ponieważ najprzód nazwany tak naród miał mieszkać na północy Armenii, nie w blizkości i sąsiedztwie Thraków, a powtóre: Strabo wyraźnie powiada, że u sąsiadów nosił lud to nazwisko (τοὺς προσαγορευομένους), zatem dowodziłoby tylko Eranizmu sąsiadów owego narodu. Prawo lingwistyczne, podług którego sanskryckie *h* zamienia się w językach erańskich na *z* jest i dla słowiańskich języków prawem, a najcharakterystyczniejsza zamiana w erańskich narzeczach *s* na *h*, nie została nigdzie dowiedzioną ani w thrackim, ani w scytyjskim języku. Takie analogie, jakie podają przytoczone przykłady, albo wątpliwej wartości (bo kto wie jak przez Greków przekręcone) imiona własne, znajdziemy pomiędzy Thrakami i Słowianami, nawet Celtami. Dla tego też zdaniem naszem słusznie zupełnie powiada Spiegel (Ausland 1871. Nr 31), że podstawą do oznaczenia dokładnego etnograficznego stanowiska ludów nad brzegami morza czarnego zamieszkałych, musi być gruntowne zbadanie stosunku słowiańskich języków do erańskiego. I p. Dr. F., zdaje się, czasami był w wątpliwości co do prawdziwości swych też, gdy powiada: „Utrzymanie się w thracko-frygijskim języku pierwotnego *Kc* „dowodzi, że stanowił on przejście do południowo-eu- „ropejskiej grupy językowej, jak zamiana sanskryckie- „go *h* na *z* i analogie w zasobach języka zbliża go do „słowiańsko-łotyskiej grupy, tak że tu znowu stanowi „on przejście do północno-europejskiej grupy języko- „wej.“ Na to zdanie autora każdy chętnie się zgodzi, ale bez umieszczonej tuż przedtem premissy, potwierdzającej eranizm tracko-frygijskiego języka.

Z pewnością ma autor słuszność, gdy twierdzi, że nazwisko Słowian „Sporoi“ przeszło do Bizantynów od Thraków; ale wątpliwem nam się zdaje, czy można to nazwisko łączyć z zend. çpar, skr. sphur, wędrować. Nie możemy bowiem przypuścić przybycia Słowian w czasach historycznych do Europy; i zupełnie słusznie powiada Cuno w przytoczonem przez nas dziele, że taki ruch ludów na północy byłby musiał oddziałać na ludy południowe i przez nie przejść do historyi.

Nie godzimy się także z autorem na eranizm pierwotnych Grecyi mieszkańców. Prawda, że Hellenowie nie uważali się za pierwotnych mieszkańców swej ojczyzny; nie wiedzą jednak nic o wwędrowaniu swem całą massą; a z pierwotnymi mieszkańcami czuli się zawsze ściśle połączonymi wiarą i obyczajem, mianowicie z Pelasgami. „Nie ma przepaści, którąby w po- „jęciu helleńskiem rozdzielała starszą i młodszą ludność „na dwie obce rasy· Nie istnie żadneje podanie pelas- „gijskie, żadni bogowie pelasgijscy, którychby można „przeciwstawić helleńskim. Toż pierwszy prawdziwy „Hellenin, homerowy Achilles, modli się do pelasgij- „skiego Zeusa, a Dodona, po wszystkie czasy za pier- „wotną siedzibę Pelasgów uważana, była też pierwotną „Helladą“ (Curtius. Griech. Gesch. I. p. 26). Autor za pospiesznie wydaje swój wyrok, a jeżeli mamy sądzić o przyczynie tego, to zdaniem naszem szukać jej należy w tem, że autor prawie wyłącznie, a przynajmniej przeważnie oparł swe teorye na podstawie lingwistycznej, tu gdzie ona jest tak wązką. A przecież exkluzywność taka jest błędną i tam, gdzie szerokim korytem płynie bogactwo językowe: przypominamy autorowi zdanie jednego z najznakomitszych badaczów języka, wiedeńskiego lingwisty Fryd. Müllera: że języki mogą wcale nie być pokrewnemi, a jednak pokrewnemi są ludy, które niemi mówią, i na odwrót. Tak np. wszyscy antropologowie zgadzają się na to, że indo-germańskie, hamito-semickie, kaukazkie i baskijskie ludy, należą do jednej rasy, tak zwanej rasy morza śródziemnego; a z drugiej strony jest pewnikiem lingwistycznym, że języki indogermańskie, hamito-semickie, kaukazkie i baskijski w cale sobie pokrewnemi nie są (Mitt. der Wiener anthropol. Ges. 1871. Nr 14). Albo czyż po angielsku mówiący murzyn w północnej Ameryce będzie pokrewnym Anglo-Saxonowi, a altajskiem narzeczem mówiący Magyar etnograficznie obcy współmieszkającym Słowianom, z którymi go łączy tyle węzłów krwi i obyczaju? A przecież języki te są znane i żywe; cóż dopiero mówić o znaczeniu owych okruchów językowych, którym jak słusznie powiedział Hehn, dowolną można przypisać ważność?

S. W.

Nauki prawne.

Eugeniusz Nowina: Przyczyny i skutki nierządu Polski. Lwów 1875. 8vo. Str. 64.

179] Nie uczony historyk lub prawnik ale człowiek wykształcony i lubiący się zastanawiać nad tem co czyta i co go obchodzi napisał powyższą rozprawę, „niemarząc wprawdzie o pracy wymagającej erudycyi,“ bo pozbawiony nawet wielu dzieł pomocniczych, ale w zamiarze, aby jego „pobieżne uwagi skierowały prace uczonych naszych na to pole.“

Wyrażając się w ten sposób, nieurościł sobie zapewne autor zasługi, że on dopiero pierwszy kwestyę nierządu Polski porusza, lub że ją w nowem świetle stawia i nowemi spostrzeżeniami zbogaca. Autor fakta do swych rozumowań czerpie z kilku wątpliwej wartości podręczników a niezna ani „Obrazu rządów i prawodawstwa“ Hoffmanna, najlepszego jak na dziś wykładu prawa publicznego polskiego (przerobionego na niemieckie przez Hüppego) ani rozprawy o słabości rządu polskiego napisanej w ostatnich latach przez T. Morawskiego. Niema więc w pracy p. N. nowych spostrzeżeń, choć niebrak licznych błędów w podawaniu faktów, np. wprost przeciwnego zrozumienia ustaw Kaźmierza Wgo o chłopach (str. 6), Zygmunta Igo z r. 1520 o miastach, z r. 1529 o instrukcyach poselskich, Alexandra z r 1505 (mylnie 1504) o sejmowaniu lub zdań, jak to które czytamy na str. 11: „Wciągu tego całego czasu dostrzegamy tylko nieporozumienia między Kmitą a Tarnowskim i małe zajścia kokoszej wojny, zresztą niema walki stronnictw(!)“ Autor niezna widać ani jednego dyaryusza sejmowego z czasów Zygmunta Augusta.

Całe zaś rozumowanie streszcza w słowach następujących (str. 60): „Liberum veto, dysproporcya między środkami, któremi król rozporządzał, a obowiązkami, którym powinien był podołać, i dożywotność urzędów

były owemi fałszywemi zasadami, które Polskę wiodły do anarchii, prowadziły państwo do zguby. Pierwsza z nich paraliżowała rozwój głębokiej, wyczerpującej dyskussyi kwestyj społecznych i działanie sejmu, druga wyradzała fatalny autagonizm między władzą królewską a sejmem, trzecia nareszcie ostatecznie ubezwładniła władzę wykonawczą.“ Natomiast zdaniem autora (str. 39) „dobre skutki elekcyi przeważały złe,“ którémi były „czasowe zaburzenia.“(?)

Autor niewychodzi więc poza wyliczenie kilku „objawów“ nierządu Polski, a przyczyn tego zjawiska zgoła nam niepodaje. Niewspominalibyśmy też wcale szerzej o jego pracy, gdybyśmy w samem pojawieniu się tej pracy, mającej „skierować uwagę uczonych na to pole,“ nie widzieli niejako żądania, które ogół myślących ludzi stawia do badaczy naszej przeszłości, aby badaniami swemi wyjaśnili raz to najważniejsze, najżywotniejsze zagadnienie z naszej przeszłości. W czem się nierząd polski objawiał, jest już powszechnie wiadomem, ale nikt dotychczas niezbadał, gdzie leżą przyczyny, które zastój i skrzywienie się całego ustroju Rzpltej a bezprzykładną słabość władzy wykonawczej spowodowały. Domyślać się możemy, że polityka Polski w obec Litwy i Rusi od XVgo wieku począwszy połączoną była z ogromnym odpływem sił, których kraj dla wewnętrznego rozwoju swego potrzebował; wyprawienie Warneńczyka na Węgry osłabiło władzę monarszą a stworzyło panowanie możnowładztwa, które przewodząc nad całym szeregiem słabych Jagiellonów w ustawie z r. 1504 stworzyło zgubny dualizm urzędów nadwornych i urzędów koronnych niezawisłych od króla. W obec tego wewnętrznego rozstroju wykonawczej władzy parlamentaryzm prowadzący do centralizacyi, której najlepszym dowodem jest ustawa „nihil novi“ z r. 1505, okazał się bezsilnym i sam krzywić się począł. Nierząd wystąpił w całej pełni już w drugiej połowie panowania Zygmunta Starego. Za Zygmunta Augusta i za Zygmunta IIIgo była jeszcze możność i były gwałtowne usiłowania „naprawy.“ Najpierw reformacya, później reakcya katolicka próbowały stworzyć silny rząd w osobie królewskiej. Usiłowania nieudały się, naród i panujący i w jednym i w drugim kierunku okazali brak prawdziwego charakteru i zasad a sławiona tolerancya religijna była już w głębi rzeczy objawem ogólnego uśpienia i zgnilizny. Oto kierunek, w którym umiejętność szuka dzisiaj rozwiązania zagadki naszych dziejów, „przyczyn nierządu.“ Odkrycie zaś i opracowanie nowych źródeł musi tu koniecznie poprzedzić wszelkie stanowcze rozumowania.

M. B.

Nauki społeczne.

Dr. Leon Biliński: Die Luxussteuer als Correctiv der Einkommensteuer. Finanzwissenschaftlicher Beitrag zur Lösung der socialen Frage. Leipzig 1875. in 8vo. Str. 198.

180] Szkoła tak zwanych socyalistów z katedry przydziela nowoczesnemu państwu między innemi i zadanie wyrównywania różnic, jakie zachodzą między zamożnemi a ubogiemi warstwami ludności, — w tem słusznem przypuszczeniu, iż z chwilą, w której te różnice do nieznacznych sprowadzone zostaną rozmiarów, ustąpi i największa trudność kwestyi t. zw. społecznej. Zadanie to wcale niełatwe — i dlatego szkoła wspomniana do osiągnięcia go różnych zaleca użyć środków. Gospodarstwu skarbowemu państwa ważny nader udział przypaść ma w tem dziele: przez podatek dochodowy progresyjny, przez zniesienie podatku od konsumpcyi niezbędnej, przez zastąpienie dochodu z kredytu publicznego dochodem z podatków i t. d. winno, ono sięgnąć stosunkowo głębiej do mieszka warstw zamożnejszych, aniżeli dopuszczałby tego sam stosunek między ich dochodem a dochodem warstw uboższych. Tym sposobem, w myśl teoryi szkoły soyalistów z katedry, dotychczasowe stanowisko gospodarstwa skarbowego w organizmie państwa radykalnemu ulega przeobrażeniu: do dziś dnia służyło ono tylko pośrednio do urzeczywistnienia celów państwa, dostarczając zasobów tym gałęziom zarządu publicznego, które ich spełnienie miały za bezpośrednie zadanie swoje, i miarą dostarczonych zasobów pociągało linię graniczną ich działalności, oraz kresowi, w jakim wypełnienie celów państwa w danéj chwili nastąpić miało. Odtąd — ciągle w myśl programu tej szkoły — obok innych gałęzi zarządu publicznego, których działalność zmierza bezpośrednio do urzeczywistnienia celów państwa, szereguje się i gospodarstwo skarbowe: wybierając podatki, ma ono na celu nie tylko zapełnić skarb, ale nadto, biorąc jednym niestosunkowo do dochodu mniej, drugim niestosunkowo do dochodu więcej, ma wypełnić przedział, jaki zachodzi między bogatymi a ubogimi, i osiągnąć bezpośrednio tym sposobem cel państwa.

Dowieść, że do rzędu środków, jakiemi posługiwać się winno gospodarstwo skarbowe dla załatwienia kwestyi tak zw. społecznej, zaliczyć wypada i podatek od konsumpcyi zbytkowej czyli od zbytku, jest zadaniem najświeższej pracy prof. Bilińskiego, której tytuł w nagłówku podajemy.

Czy dowód ten powiódł się autorowi, o tem pomówimy później. Tu, zanim przejdziemy do szczegółów, podnosimy dwie niepośledne zalety dzieła: wielką systematyczność i jasność wykładu, zalety, będące skutkiem wszechstronnego zapanowania nad przedmiotem, oraz niepospolitą gruntowność, o której w każdym wierszu przekonywa się czytelnik. Jeżeli szeregiem prac poprzednich przyzwyczaił nas autor składać uznanie swej głębokiej znajomości literatury ekonomicznej niemieckiej, to w pracy niniejszej spotykamy się znowu z równie niemal dokładną znajomością literatury ekonomicznej Francuzów i Anglików. — Dla nas, którzy nie należymy do bezwzględnych zwolenników szkoły socyalistów z katedry, jest i to pewną zaletą dzieła, że autor nie wszędzie idzie ślepo za śladem tej szkoły, że strzeże swej samodzielności, że np. w ważnej kwestyi, czy źródła podatku szukać należy w dochodzie rozporządzalnym (freies Einkommen), czy w dochodzie czystym, dopatruje się go tylko w dochodzie rozporządzalnym, w sprzeczności z koryfeuszami szkoły wspomnianej, jak Held i Naasse, którzy w czci swojej dla państwa częstokroć nie wiedzą, czy nos dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa.

Podnieśliśmy wyżej wielką systematyczność dzieła. Autor dzieli pracę swoją na wstęp i cztery rozdziały, z których każdy następny wypływa z logicznego rozwoju poprzedniego. Ta przeźroczysta architektonika nie dozwala gubić się w szczegółach z zatraceniem głównej myśli, co tak często się zdarza w dziełach poświęconych teoryi skarbowości.

We wstępie wyłuszcza autor zadanie pracy swojéj i jej związek z kwestyą t. zw. społeczną. Tu było

miejsce do omówienia kilku pytań wstępnych niepośledniego znaczenia, — i żałować wypada, że autor tę sposobność roztrząśnięcia tych kwestyj pominął. Tu było przedewszystkiem miejsce, aby wyświecić stanowisko autora w obec tak sprzecznych zapatrywań na pojęcie zbytku. Byłoby to wiele ułatwiło zrozumienie myśli autora, gdyby czytelnik z góry wiedział, odkąd podług pojęć piszącego poczyna się zbytek, wskazujący na dochód opodatkowaniu podlegać mający. Z różnych ustępów rozrzuconych tu i owdzie w ciągu dzieła, czytelnik może sobie wprawdzie złożyć pojęcie, jakie autor przypisuje zbytkowi, ale taka rekonstrukcya zasadniczego pojęcia nie wystarcza, raz dla tego, że jest indywidualną, a więc dowolną, powtóre dla tego, że dochodzi się do niej dopiero po przeczytaniu dzieła. Jeżeli trafnie pojęliśmy myśl autora, uważa on za zbytkowy, a zatem zalecający się do opodatkowania, wszelki artykuł konsumpcyi, który jest zbędnym dla klasy średniej, tak iż uiszczenie podatku dla tej klasy staje się rzeczą zupełnie dowolną. Takie li formalne wyjaśnienie pojęcia zbytku właściwie mało rzecz wyjaśnia, bo zarówno dla prawodawcy jak dla czytelnika nasuwa ono trudniejszą do załatwienia kwestyę, tę mianowicie, gdzie się poczyna a gdzie kończy stan średni?

W rozdziale pierwszym przedstawia autor znaczenie podatku od zbytku w przeszłości i w teraźniejszości. W przeszłości, służył ów podatek więcej za środek prewencyjny przeciw nierozsądnemu podług ówczesnych pojęć marnowaniu mienia, aniżeli za źródło dochodów dla skarbu. W teraźniejszości stanowi on nader ważną pozycyę w budżecie dochodów państw romańskich, oraz Anglii i Holandyi, — zdanie, do którego jak mniemamy nie byłby doszedł autor, gdyby nie był spuścił z oka, iż do ogólnej summy dochodów z tego źródła, największej cyfry dostarcza wszędzie podatek od mieszkań, nałożony na lokatorów, który, o ile przynajmniej ciąży na warstwach mniej zamożnych — a te są wszędzie najliczniejsze za podatek od konsumpcyi zbytkowej tylko w tej nieznacznej mierze uważanym być powinien, w jakiej przekracza miarę narzuconą podług przyjętego zwyczaju pozycyą kontrybuenta w hierarchii społecznej.

Rozdział drugi poświęca autor dotychczasowym poglądom na kwestyę podatku od zbytku, które po kolei zapisuje i roztrząsa. Piszących w tej materyi dzieli autor na pięć kategoryi, z których pierwsza reprezentowana głównie przez Malchusa i Hoffmana jest podatkowi od zbytku stanowczo z zasady przeciwną, ostatnia, reprezentowana przez Eisenhardta i Maurusa, stanowczo mu przychylną, podczas gdy trzy kategorye pośrednie bądź przypisują znaczenie tylko podrzędne podatkowi od zbytku, bądź uznając jego znaczenie w teoryi, cofają się przed jego zastósowaniem w praktyce z powodu nasuwających się trudności. Rozdział ten daje poznać rozmiary studyów przygotowawczych, jakie autor podejmował, zanim wziął się do dzieła.

Rozdział trzeci traktuje o stanowisku przynależnym podatkowi od zbytku w systemie podatkowym. Zarówno pod względem treści jak obrobienia, rozdział ten góruje nad innemi. Bardzo słusznie utrzymuje autor, iż podatek dochodowy, który z powodu łatwości wyśledzenia rzeczywistego dochodu w jednych zawodach, niemożebności wyśledzenia go w drugich, w nierównej mierze zaciążyć musi nad dochodami z różnych źródeł, nie może służyć, jak przypuszczał Stein, do wyrównania nierównego rozkładu ciężaru przez podatki od produkcyi (Ertragssteuern), ale raczej potrzebuje sam uzupełnienia wyrównywającego. Takiem uzupełnieniem są podatki konsumpcyjne, których zadanie jest dwojakie: ściągnąć podatek z warstwy ludności pobierającej zarobek z pracy fizycznej, jako niedosiągniętej przez podatki bezpośrednie, oraz wyrównać ciężar nierównego z natury swej opodatkowania warstw obłożonych już podatkami bezpośredniemi. Aby to ostatnie zadanie podatków konsumpcyjnych osiągniętem być mogło, wypada w zakres opodatkowania wciągnąć wszystkie przedmioty konsumpcyi zbytkowej, tj. konsumpcyi zbędnej dla stanu średniego: tylko bowiem przez takie rozprzestrzenienie zakresu przedmiotów opodatkowanych zaciera się niesprawiedliwość ztąd pochodząca, iż wszyscy w równej wysokości opłacają podatki konsumpcyjne bez względu na dochód jaki pobierają. Szwankują przezto całe warstwy ludności, których dochód może być należycie wyśledzony i opodatkowany, albowiem składają podatki konsumpcyjne w równej mierze z temi, których dochód nie może być dokładnie oznaczony i należycie opodatkowany; cierpią na tem jednostki, które opłacają podatek w równym do swej konsumpcyi stosunku, podczas gdy ich konsumpcya nie wzrasta w równym do dochodu stosunku. W takim stanie rzeczy, warstwy średnie stosunkowo do dochodu swego więcej doznają ciężaru podatków konsumcyjnych, aniżeli warstwy najzamożniejsze. Zatem tylko podatek od konsumpcyi zbytkowej, jakiej pozwalają sobie warstwy najzamożniejsze, jest jednym środkiem sprawiedliwego uzupełnienia systemu podatków konsumpcyjnych i wyrównania niesprawiedliwości, o jaką podatek dochodowy przyprawia dziasiaj całe warstwy ludności. — Podatek od zbytku, jak dalej wykazuje autor, jest logicznem następstwem zasady, na której opierają się w ogólności podatki konsumpcyjne, tej zasady, na której w szczególności opierają się podatki konsumpcyjne od napojów gorących, cukru i wyrobów tabacznych, jest środkiem załatwienia w części kwestyi tak zwanej społecznej, jest wreszcie warunkiem racyonalnego systemu cłowego.

Wyszukawszy w podatku od konsumpcyi zbytkowej nowe źródła dochodu dla skarbu, autor podatki pobierane dotychczas od przedmiotów, które tylko w niektórych miejscowościach za przekraczające granice niezbędnej potrzeby się uważają, jak np. drób lub owoce w wielkich miastach, przekazuje gminom, a to z powodu, iż „sprzeciwiałoby się zasadzie równości opodatkowania, gdyby jeden i ten sam przedmiot w jednem miejscu podlegał podatkowi, w drugim nie“ (str. 111). Otóż na tę argumentacyę zgodzić się nie możemy: jeżeli bowiem konsumcya owych artykułów jest charakterystycznym symptomatem dochodu w jednej miejscowości, a w drugiej nie, to byłoby właśnie sprzecznem z zasadą równości opodatkowania, gdyby państwo pominęło sposobność opodatkowania dochodu, który manifestuje się przez konsumcyę artykułów w mowie będących.

Widzimy z powyższego przedstawienia, iż autor stanowisko pełne znaczenia wskazuje podatkowi od zbytku w racyonalnym systemie podatkowym — a wskazuje, przyznajemy to chętnie, z taką przekonywającą siłą argumentów, iż przez wzgląd na teoryę oświadczyćby nam się wypadało od razu za uzupełnieniem podatków konsumpcyjnych przez podatek od zbytku, gdy-

by — gdyby wykonanie w praktyce niezakładało swego veto. Wiadomo, że niema żadnej umiejętności, w którejby tak często, jak w umiejętności skarbowej, należało podejmować kompromisy między postulatami teoryi a względami praktycznemi.

Dowodzeniu, że podatek od zbytku wprowadzić w życie można, i to bez wielkich trudności, poświęca autor rozdział ostatni swego dzieła. Przedmioty, które podatkowi od zbytku podlegać mają — przedstawia on — są albo bezwzględnie zbytkowe, jak np. brylanty, lub też względnie, tj. stanowiące zbytek nie same przez się, lecz dopiero poczynając od pewnego wykwintniejszego gatunku. Te ostatnie stanowią najliczniejszy oczywiście kontyngens przedmiotów podatkowi podlegać mających. Takowy pobierać się powinien w regule u producentów gotowych już artykułów konsumpcyi (Ganzfabricate), wyjątkowo tylko od kupców. W tym celu władza skarbowa zarządzić winna co należy, aby fabrykanci (a względnie sprzedający) z początkiem każdego roku przedkładali urzędom podatkowym wyciąg z ksiąg swoich obejmujący wykaz dokonanych w roku ubiegłym sprzedaży. Urząd podatkowy zesumowawszy poszczególne pozycye, przedewszystkiem odciągnie od sumy otrzymanej kwotę, jaką przedstawia sprzedaż gatunków pośledniejszych, tj. pozbywanych po najniższej cenie, a w następstwie uwolnionych od podatku, od pozostałej zaś reszty wymierzy podatek podług obowiązującej stopy podatkowej. Ten podatek producent doliczałby następnie do ceny, i takowy odbierał od kupca, kupiec zaś od konsumenta. Zdaniem autora, pobór podatku tym sposobem dokonany nie sprawi ani zmniejszenia konsumcyi, ani nie popchnie jej do zadawalania się pośledniejszemi gatónkami, ani nie wywoła defraudacyi.

Otóż wyznajemy, że tego optymistycznego zapatrywania się autora na możność wprowadzenia w wykonanie podatku od zbytku, wcale nie podzielamy.

Podatek od zbytku, aby przyniósł dochód znaczny i zapobiegł wypaczeniu się gustu przez przenoszenie się od towarów wytworniejszych, a więc opodatkowanych, do towarów pośledniejszych, jako nieopodatkowanych, musi, jak słusznie twierdzi autor, obejmować rozległą sferę przedmiotów. Otóż owa rozmaitość artykułów konsumpcyi, jaką dostarcza przemysł nowoczesny, utrudniaćby musiała niesłychanie wykonanie podatku. Wejdźmy oto do fabryki np. wyrobów metalurgicznych lub wyrobów skórzanych: każda z nich dostarcza tysiące przedmiotów i to zarówno tych, co służą do zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb, jak i tych, co zaspakają wymagania najwybredniejszego gustu; co więcej jeden i ten sam przedmiot przebiega zwykle rozległą skalę ceny. Chcąc sprostać zadaniu swemu, władza skarbowa utrzymywaćby musiała liczny personal ze specyalnem wykształceniem technologicznem, a więc personal dobrze płatny, któryby rozciągał nadzór nad każdą gałęzią produkcyi, utrzymywał ewidencyą jej wyrobów i mógł mieć zdanie o jej księgach handlowych, inaczej, z urzędników skarbowych będzie taka sama korzyść jak z owych komisarzów rządowych przy niektórych bankach i kolejach żelaznych, pod których okiem, li z braku technicznej znajomości przedmiotu, działy się największe nadużycia. Podług autora, cena najniższa ma być cechą wyrobu poślednicgo i uwalniać od podatku. Dla czego tylko cena najniższa? Jest to przypuszczenia wcale dowolne, aby tylko towar po najniższej pozbywany cenie był poślednim: w rzeczywistości dla gatunków pośledních, podobnie jak i dla doborowych istnieje cała skala cen, a ich konsumpcya jest symptomatem raczej niedostatecznego dochodu, aniżeli takiego, któryby do nałożenia podatku uprawniał.

Gdyby władza skarbowa pokonała nawet szczęśliwie owe przeszkody techniki administracyjnej, to wnet nasuwają się i inne trudności. Oto zaraz jedna: Przeniesienie podatku na konsumenta zawisło od zmiennych konjunktur handlowych. Raz udać się ono może, drugi raz, szczególniej przy artykułach zbytkowych, może się nie udać.

W każdym razie wypadnie producentowi dla uniknięcia możliwej straty uczynić jedno z dwojga: albo doliczać stale do ceny pewną premię, któraby go pokryła na wypadek, gdyby w przyszłości podatku przenieść nie mógł, albo też podatek opłacić z własnej kieszeni, co równałoby się podniesieniu podatku od wykonywania przemysłu, który wszędzie i zawsze jak najniższą winien mieć stopę. — Oto druga przeszkoda: Wyciąg z ksiąg fabrykanta ma obejmować wykaz pozbytych towarów i osiągniętych cen. Wiadomo, że dzisiaj fabrykanci pozbywają zazwyczaj towary na kredyt kilkomiesięczny — jeżeli tedy kupiec zawiedzie zaufanie fabrykanta, a ten ostatni mimo tego podatek zapłacićby musiał, w takim razie nie pozostałoby mu nic innego jak przez podniesienie premii assekuracyjnej ochronić się od straty, jaką nie tylko w skutek utraty kapitału, ale i w skutek zaliczenia podatku poniesie. W każdym razie zatem podatek od zbytku doprowadzić musi do podniesienia ceny towarów opodatkowanych — i to do podniesienia znacznie wyższego, aniżeli sam podatek wynosi.

Są to trudności nasuwające się na pierwszy rzut oka: praktyka nasunęłaby inne i cięższe. A gdyby nawet udało się uchylić wszelkie przewidziane i nieprzewidziane przeszkody, to żadną miarą, jak mniemamy, nie można się spodziewać obfitego dochodu z podatku od zbytku. Łudzi się autor, przypuszczając, iż podatek choćby najniższy, nie ograniczy konsumpcyi — właśnie dla tego, że idzie tu o przedmiot konsumpcyi zbędnej i bardzo zbędnej, podniesienie ceny musi wpłynąć na zmniejszenie konsumpcyi. Więcej jeszcze podziała podatek na produkcyę krajową. Autor, naszem zdaniem, oddaje się znowu nieusprawiedliwionemu optymizmowi, przypuszczając, że skoro podatek płacony będzie za przeszłość, a więc z kwoty już od konsumenta uiszczonej, zniknie bodziec dla przemytnictwa. Różnica nawet nieznaczna w cenie wystarczy, aby przy dzisiejszym rozwoju stosunków międzynarodowych i trudności kontroli, wyrugować z targów produkta miejscowe i zastąpić je zagranicznemi. Gdyby autor przypatrzył się z blizka, jakie rozmiary przybiera w prowincyach nadgranicznych monarchii austryackiej przemytnictwo papierosów, pomimo wcale nieznacznej względnie do gatónku różnicy ceny, przyszedłby do przekonania, że wprowadzenie w życie podatku od zbytku w niejednym kraju zadałoby cios nader dotkliwy rozwijającemu się przemysłowi.

Autor zaleca w końcu zaprowadzenie podatku giełdowego (Börsensteuer) jako species podatku od zbytku, do którego tytułu dostarczałaby nieopodatkowana dotąd *przyjemność osiągnięcia zysku*. Mniemamy, że jeżeli podatek nie ma być środkiem prewencyjnym, aln ogniwem w systemie opodatkowania, wi-

nien być konsekwentnym, tj. że w razie opodatkowania przyjemności osiągnięcia zysku przez giełdzistę, wypadałoby opodatkować i przyjemność, jakiej dostępnje fabrykant, ciągnąc zyski z przedsiębiorstwa, i tę, jakiej dostępuje doktor, lecząc szczęśliwie pacyenta, i tę, jakiej dostępuje adwokat broniąc pomyślnie sprawy. Jeżeli podatek nie obejmie tych i wielu innych jeszcze sfer, jeżeli zlokalizowanym zostanie tylko do przyjemności giełdzisty, wówczas będzie grzywną nałożoną na grę giełdową, będzie co najwięcej środkiem prewencyi, ale nie będzie podatkiem.

Reforma dzisiajszych systematów podatkowych jest niewątpliwie rzeczą nader pożądaną, a nikt silniej i lepiej od autora niniejszego dzieła nie przedstawił tej nierówności, jaka tkwi mniej więcej we wszystkich systematach dzisiaj obawiających — ale wątpimy, aby pomimo usiłowań autora, ktokolwiek tej reformy szukał w zaprowadzeniu podatku od zbytku. Cokolwiek ze stanowiska teoryi powiedzieć można na jego obronę, ze stanowiska praktyki nasuwają się te same przeszkody, o jakich już wspominali przeszłowieczni statyści, — a dziś nasuwają się natarczywiej niż kiedykolwiek. Diagnoza wadliwości dzisiejszych systematów podatkowych, jakie obowiązują w praktyce i jakie zaleca teorya, podjęta w dziele, które nas zajmuje, jest znakomitą — ale wskazany środek zaradczy, nie prowadzi, naszem zdaniem, do celu. *B—k.*

Nauki przyrodnicze.

Sprawozdanie komisyi fizyograficznej przy Akademii Nauk w Krakowie, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1873, oraz materyały do fizyografii Galicyi. Tom ósmy; 8vo Kraków 1874 r.

Sekcya zoologiczna.

181] 1. Sprawozdanie sekcyi zoloogicznej, str. 33 i 34. Sprawozdanie roczne przewodniczącego Prof. Nowickiego wielce jest pocieszające, albowiem przekonywa o ciągłej działalności pracowników badających faunę miejscową, chociaż zresztą, zpowodu różnych przeszkód, rok 1873 mniej był ożywiony od lat poprzedzających. Dr. Wierzejski badał owady w Tatrach; P. Łomnicki ze Stanisławowa czynił poszukiwania pomiędzy rzekami Koropcem a Strypą, od Monasterzysk i Buczacza aż ku jarowi Dniestru; Prof. Król, przebywając w Janowie pode Lwowem, badał tamtejszą faunę; wreszcie przewodniczący sekcyi Prof. Nowicki, wraz z I. P. Kotulą badał owady plony niszczące. Kilku członków wygotowało do druku prace fauniczne. Dowiadujemy się też, że zbiory komisyi pomnożyły się zbiorami Dr. Wierzejskiego, I. P. Łomnickiego, a także w części zbiorami Prof. Nowickiego. Na zakończenie sprawozdania Prof. Nowicki słusznie utyskuje nad niedbalstwem władz miejscowych, które zaniedbują wykonywania przepisów, zabraniających tępić kozice w Tatrach. Dziwnie też władze miejscowe postępują wymierzając drobną karę pieniężną, bez zabierania nieprawnie zabitej zwierzyny, daleko większej niż grzywny wartości, chociaż zdawałoby się, że ta w żadnym razie niepowinna pozostawać własnością kłusownika. W Królestwie Polskiem od d. 1 Września 1871 r. wprowadzono w wykonanie bardzo zbawienne przepisy polowania, które pomimo krótkiego czasu dużo już pożytku przyniosły. Nieprawnie ubitą zwierzynę władze zabierają na korzyść zakładów dobroczynnych, a oprócz tego trzeba duże grzywny opłacać lub odsiadywać więzienie. Tak według §. 49. pomienionych przepisów: „Za wszelkie polowanie, łowienie zwierząt i ptaków, oprócz tępienia zwierząt i ptaków drapieżnych, w zabronionym do polowania czasie, winny ulega karze pieniężnej: za 1ym razem 10 rubli, za 2gim razem 20 rubli, za 3cim razem 40 rubli.“ Dalej, §. 52: „Za tępienie lub łowienie takich zwierząt lub ptaków, których łowienie lub zabijanie zabronione jest przez ogólne lub miejscowe postanowienia, winny podlega karze pieniężnej 50 do 150 rubli, lub osadzeniu w wieży od 3 do 6 miesięcy, stosownie do okoliczności mniej lub więcej obostrzających lub łagodzących jego winę.“ Gdyby kłusownik płacił za kozicę koło 80 do 230 złr., albo odsiadywał 3 do 6 miesięcy więzienia, niełatwoby się odważył na przekroczenie zakazu.

2. Prof. Nowicki. Dodatek do fauny pajęczaków Galicyi str. (1) do (12). Dodatek obejmuje gatunki przez różnych zbieraczy nadesłane sekcyi zoologicznej, a dla fauny galicyjskiej nowe lub też takie, które w miejscach obecnie podanych dotychczas nie były znane. W ogóle dodatkowy ten spis obejmuje z rzędu Arthrogastra rodzajów 11, gatunków 19; z rzędu Araneina rodzin 9, rodzajów 63, gatunków 200. Przy każdym gatunku dokładnie oznaczono miejsce i czas znalezienia. Obok całego zajęcia, jakie dodatkowy ten spis obudza, można uczynić zarzut, że Prof. Nowicki zaniedbał zestawienia dodatkowego spisu w głównym; w obydwóch spisach występują w części te same gatunki, a mianowicie te, które zamieszczono w dodatku jedynie dla tego, że dawniej nie były w danej miejscowości znane, chcąc więc powziąść dokładne pojęcie o bogactwie fauny pajęczej w Galicyi potrzeba wielce mozolnego porównania i zestawienia obydwóch spisów. Gatunki określa L. Koch w Norymberdze.

3. Prof. Łomnicki. Wykaz dodatkowy chrząszczów galicyjskich str. (12) do (18). Wykaz jest uzupełnieniem spisu chrząszczy galicyjskich, przez Prof. Nowickiego ogłoszonego (Beiträge zur Insecten-fauna Galiziens. Kraków 1873). Prof. Łomnicki podaje 118 gatunków dla fauny galicyjskiej nowych, oraz 57 podawanych w wątpliwość jako mieszkańców Galicyi. Spis Prof. Nowickiego obejmuje 2591 gatuuków i 71 odmian niewątpliwie w Galicyi, Bukowinie lub W. Księstwie Krakowskiem mieszkających, zatem dołączywszy gatunki przez Prof. Łomnickiego podane, otrzymujemy dla powyższych krain 2766 gatunków i 71 odmian. Pomiędzy podanemi w wykazie postaciami spotykamy też dwie nowe, przez Prof. Łomnickiego nazwane: odmianę Mycetoporus lucidus Er., var. hiliciensis. Łmcki, i gatunek Quedius tatricus Łmcki.

4. B. Kotula. Przyczynek do fauny chrząszczów galicyjskich str. (18) do (26). Przyczynek obejmuje gatunki w okolicach Krakowa, Wadowic i w Tatrach zebrane. Z okolic Krakowa przytoczono tylko chrząszcze z miejscowości, w których dotąd nie były znane, a z tatrzańskich gatunków wymienione tylko rzadsze. Spis obejmuje: z okolic Krakowa gatunków 133, z pod Wadowic 187, z Tatr 24, w ogóle gatunków 344, a pomiędzy temi 39 nowych dla fauny galicyjskiej.

5. Prof. Łomnicki. Spis ptaków spostrzeganych w okolicy Skały nad Zbruczem na Podolu w roku 1869—1872. Str. (26) do (29). Spis obejmuje gatunki w najbliższych okolicach miasteczka Skały na Podolu

galicyjskiem przez ks. kanonika Andrzejowskiego zebrane i ofiarowane dla muzeum gimnazyalnego w Stanisławowie. Określenia gatunków dokonał Prof. Łomnicki wspólnie z Dr. J. Jachną, przyczem przy niemożności porównywania ptaków z okazami typowemi, gatunki wątpliwe pominięto. Różne objaśnienia dotyczące czasu pojawienia, obyczajów, zachowania się w stanie oswojenia i t. p. przytoczono według notat ks. kanonika Andrzejowskiego. Spis obejmuje: drapieżnych 21, wróblowatych 36, łażących 6, gołębia 1go, kurowatych 2, podkasałych 18, pływających 11, w ogóle 95 gatunków. Prof. Łomnicki wylicza też 19 gatunków otrzymanych z okolicy Stanisławowa.

A. O. W.

Nauki lekarskie.

Sprawozdanie lekarskie szpitala powszechnego krajowego we Lwowie za rok 1873. Z polecenia Wysokiego Wydziału Krajowego wydane przez Dyrekcyę szpitala powszechnego. Lwów 1875, druk Kornela Pillera, str. 374 i V.

182] Mamy przed sobą wcale pokaźny tom, przypominający nam objętością swoją sprawozdania szpitalne, ogłaszane rokrocznie przez zakłady wielkich miast zakrajowych, a witamy książkę tę tem serdeczniej, im dłużej i niecierpliwiej pojawienia się jej oczekiwać musieliśmy. Jakkolwiek bowiem już od lat kilku lekarze szpitalni krakowscy zdawali sprawę z poszczególnych oddziałów, to przecież spotykamy się dopiero po raz pierwszy z pracą zbiorową lekarzy szpitalnych. Żałujemy wprawdzie, że nie wszystkie oddziały reprezentowane są w sprawozdaniu, jednak liczyć się musimy i z okolicznościami, które nie dozwalały, żeby praca w mowie będąca była dokładnem i wiernem zwierciadłem nietylko ruchu chorych, ale i zabiegów naukowych wszystkich lekarzy szpitala powszechnego we Lwowie; skoro pierwsze lody przełamane zostały, wolno nam cieszyć się nadzieją, że sprawozdania odtąd regularnie rokrocznie pojawiać się i wszystkie oddziały szpitala obejmować będą.

Wobec niezaprzeczonego faktu, że Wydział Krajowy i Dyrekcya szpitala wydawnictwem tem dobrze zasłużyły się krajowi, zadanie recenzenta staje się nader trudnem; uradowany objawem najlepszej woli i zacnych chęci, zniewolonym się widzi sądzić o wiele oględniej luki i usterki, od których przecież żadna praca ludzka wolną nie jest, a w danym razie policzyć takowe na karb młodego wydawnictwa, doświadczającego dopiero sił swoich; a jeżeli krytyka poważna — aczkolwiek zmuszoną czasem jest zadawać rany miłości własnej, przecież stara się zarazem wskazać środki rany te gojące, — to w tym przypadku, właśnie przez wzgląd na dobre chęci, tem ostrożniejszą być musi w ranieniu, tem chętniejszą do leczenia.

Ze sprawozdania dowiadujemy się, że lekarze szpitalni obrali komisyę redakcyjną, celem ułożenia tego sprawozdania rocznego (str. 27). Postąpili więc sobie najstosowniej; albowiem każda praca zbiorowa wymaga pewnego i to energicznego kierownictwa. Z żalem jednakże wyznać musimy, że sprawozdanie w postaci tej, w jakiej nam się przedstawia, nie zdradza wcale zbytniej energii ze strony redakcyi; jest ono zestawione, ale nie redagowane. Obowiązkiem komisyi było zdaniem naszem postarać się, aby prace poszczególne, jakkolwiek przez rozmaitych spółpracowników podawane, przecież okazały pewną jednolitość a nie puszczane były samopas, przez co obok niektórych prac gustownych i obszernych spotykamy się też z prostemi wykazami przypominającemi wykazy lekarzy cholerycznych, a tę samą wartość naukową mającemi. Lecz jeżeli w tej mierze większa zapewne wina ciąży na właściwych sprawozdawcach aniżeli na redakcyi, to pod innym względem ostatniej od ciężkiego zarzutu uwolnić nie możemy. Pomijając bowiem niesłychaną nawet w naszych stosunkach liczbę wykazanych omyłek drukarskich, bo aż 223 wynoszącą; pomijając nadto pokaźną liczbę omyłek niewykazanych, a przyzną każdy, że takie mnóstwo błędów książki nie podnosi, — zastanowić się musimy obszerniej nieco nad językiem w którym książka wydaną została. Językiem urzędowym u nas jest polski, i zapewne Dyrekcya miała zamiar ogłoszenia sprawozdania w tymże języku. Chęci niestety nie dopisały. Dalecy jesteśmy od wszelkiego przesadzonego puryzmu językowego; jest nawet wstrętną dla nas w ocenie naukowej potrzeba poruszenia strony językowej; zawsze byliśmy zdania, że w takiej ocenie może rozchodzić się tylko o styl mniej lub więcej piękny; bo mamy prawo spodziewać się, że człowiek wykształcony, pracę jakąś ogładzający, z gramatyką ułatwił się poprzednio w szkołach średnich A ponieważ przecież się zdarza, że mężowie uczeni nie dbają o szatę, w której płody swe umysłowe w świat wyprawiają, obowiązkiem jest redakcyi zbadać uważnie tę szatę, ażeby nie wywołać zgorszenia publicznego. Oddajemy hołd mądrości Dyogenesa, ale brzydzimy się brudnym jego płaszczem i beczką, za mieszkanie służyć mu mającą. Rzecz dziwna a zarazem i smutna, że u nas ciągle jeszcze tą szatą zajmować się trzeba; a przecież istnieje w kraju od lat kilkunastu Przegląd lekarski, organ na straży języka i słownictwa lekarskiego, łatwo więc lekarzom pouczyć i poinformować się. Komisya redakcyjna nie korzystała z tej sposobności, a skutkiem tego zaniechania książka stała się wzorem dla wszystkich, jak pisać nie należy.

Aby usprawiedliwić się z zarzutu, który właśnie czyniliśmy, podajemy sporą antologię zdań i wyrażeń nieodpowiednich, w które sprawozdanie obfituje.

I tak na str. 27 powiedziano: „komisya, do której pan inspektor zaproszonym być ma“, str. 34: „na dwie wady chroma szpital“, str. 42: „przyczyny do gruźlicy“, str. 80: „umarł pod objawami“, str. 133: „z konfrontacyi tych wyciągnął prawidło“, str. 269: „trzeba długo czasu do leczenia“, dalej: „przydzielono na oddział dwóch lekarzy“ (str. 27 i 271), „uzyskał uchwałę funduszów“ (272), „chora nie otrzymała żadnego rozpoznania“ (zamiast nie rozpoznano żadnej choroby str. 294), „rzecz przedstawia się następująco“, „należy usprawiedliwić tem, że“, — „ściągnąwszy poszczególne postacie chorobowe do podstawowych stanów“, — „często nie można było wydobyć wywiadów“, — „jakie rozpoznanie zrobili i jakie przyobiecują rokowanie“ (zamiast: co rozpoznali i jak rokują), — „z wykazaniem możliwego wyprzedzenia jakiejś choroby“ — „przyczyna powodująca zmiany (303,344)“, — „podział w rozgatunkowaniu cierpień“, — „znalazł zastósowanie“, — „różnice są bardziej stopniowe“, — „odebrała wychowanie“, — „stawiać pytania“ — „u których spostrzegano chorobę, było 4“, — gada przez przerwy“, — „występuje u niej poczucie się w bóstwie“,

— „z mięsem jeść nie chciała", — „usiłowała godzić na swoje życie", — „wyrabiało się powoli przejście w stan zniedołężnienia", — „trzymała się nieczysto",— „bez poprzedzenia go inną chorobą", — „cierpienie, które trafia w czasie pełni zdrowia", — „czoło nagle ku tyłowi nakłaniające się", — „zapędy wzmogły się w natężeniu i czasie", — „główne cechy tej łęk szy moglibyśmy podać następujące".

Oprócz tych wykroczeń pzeciw składni spotykamy się także z błędami gramatycznemi lub ortograficznemi, jak np. „chorych obojga płci (273)", — „zaniedbywała gospodarstwo" (319), — „temu cierpieniu uległych chorych podzielimy" (a jest mowa o kobietach, str. 326),— diploë zanikłe", — „trzewia, trzewiów (zamiast trzewa, trzew)", — „miazdrzyca (zamiast miażdżyca)", — „na zewnątrz od sutki (zamiast od sutka)", — „przetoka życi (zamiast rzyci)", — „phymosis (zam. phimosis)", — „wiele czynności się wykonuje"; — dalej spotykamy się z całym seregiem wyrazów niestósownych, jak np. „przyrost chorych" (żywcem tłómaczone z niemieckiego Zuwachs) 286, — „gazy wydzielnicze", — „znaczny wkład w bieliznę", — „recydywistki", — „zasadnicze formy chorobowe", — „opieka kuratelna", — wypadek (wszędzie zamiast przypadek)", — „w przewodach uszu i nosa niema nic zdrożnego", — „badanie nie okazuje odwzorowości", — „zapory stolcowe", — „czyśćce (zamiast leków czyszczących)", — „nawrot choroby",— „istność chorego", — „przypodabnianie", — „ześrodkowały się w wyobrażeniu", — „będąc na świecie (zam. w domu, poza szpitalem, na wolności)", — „brak dzielności w działaniu", — „osobniczość", — „wywiady nieznane", — „dzieciństwo (zamiast dziecięctwo)", — „do go (zamiast nadto)", — „życie ich jest tylko roślinieniem", — „wykościła", — „dużo prędzej", — „tak długo — jak długo (zamiast dopóty — dopóki)", — „oparzenie od słońca", — „zapalenie przyjądra, przyjądry (88, 131)" — „plastica wargi" — „kształtuje się (żywcem wzięte z niemieckiego: gestaltet sich)". — Niektóre wyrazy, które nie uzyskały jeszcze obywatelstwa w piśmiennictwie naszem, rażą zagadkowością swoją, jak np. łększa zamiast kategorya, gromło zamiast elektryczność. — Wreszcie wbrew duchowi języka sprawozdanie umieszcza często przymiotniki przed rzeczownikami, jak np. „należy do milczącej historyi (272)", — „porażenne zniedołężnienie (275)", — umysłowe podniecenie (303)", — „osłupny zachwyt (322)".

Czytelnik raczy wybaczyć, żeśmy się tak rozszerzyli nad stroną językową sprawozdania; ale w zamian za nadużycie cierpliwości poweźmie przekonanie, że rozpatrzyliśmy się sumiennie w książce, o której zdajemy sprawę. Otóż przystępując teraz do samej treści, nadmienimy przedewszystkiem, że oprócz prac sześciu lekarzy ordynujących na oddziałach mieści się w książce i sprawozdanie dyrekcyi szpitala, oraz sprawozdanie zakładu anatomiczno-patologicznego i chemiczno-patologicznego. Z prac tych w pierwszym rzędzie zasługuje na uznanie rozprawa p. DraRóżańskiego, która w ostatnim numerze naszego pisma ocenioną została; po niej pod względem wartości naukowej następuje skromne wprawdzie, ale bardzo pracowite sprawozdanie z dochodzeń patologiczno-anatomicznych, napisane przez Dra L. Feigla, prosektora szpitala (str. 340—371). Z pracy tej dowiadujemy się, że w prosektoryum szpitala powszechnego we Lwowie wykonano w roku 1873 sekcyj naukowych 761, że dzięki hojności Wydziału Krajowego istnieje przy szpitalu prosektoryum w osobnym budynku, i że w r. 1873 zachowano w tym zakładzie 73 wyrobów patolog.-anatomicznych. Z natury rzeczy wypływa, że w szczegóły pracy wdawać się nie możemy; tyle tylko możemy powiedzieć, że przebija w niej gruntowna znajomość przedmiotu i jego literatury, a zabiegi Dra Feigla około urządzenia zakładu i utrzymania go na stopie odpowiedniej wymogom nauki są tem cenniejsze, o ile nie zawiedzie nas może nadzieja, że prędzej czy później ustanowiony będzie we Lwowie wydział lekarski, który tym sposobem znalazłby już gotowy zakład tak konieczny dla nauki.

O dwóch jeszcze pracach wspomnieć nam wypada, a mianowicie o sprawozdaniach z obydwóch oddziałów chorób umysłowych, spisanych przez pp. Drów Sawickiego i Opolskiego.

Dr Sawicki niedawno dopiero pełni obowiązki lekarza ordynującego i dlatego też sprawozdanie jego (z oddziału męzkiego) jest krótsze (str. 270—284) niż jego kolegi ordynującego na oddziale żeńskim (str. 285—339); jednak i ta praca podaje nam niektóre ciekawe szczegóły. Jak wszędzie, tak i we Lwowie, liczba obłąkanych szukających pomocy i przytułku w szpitalu wzmaga się z każdym rokiem, a mimo to znajduje się w kraju kilkaset chorych potrzebujących jeszcze pomieszczenia w zakładzie; dziwnym jednak sposobem we Lwowie największa liczba obłąkanych przypada na rolników i wyrobników, a liczba chorych nieumiejących czytać i pisać wynosi 71 pct. Cóż na to powiedzą ci, którzy postępowi cywilizacyi przypisują tak szkodliwy wpływ na umysł jednostek i społeczeństwa? Uwagi godną jest także okoliczność, że jakkolwiek urządzenie naszych zakładów dla obłąkanych nie odpowiada jeszcze wymogom tegoczesnym, we Lwowie rzadko używają kaftana, a mimo to i pomimo braku komór osobnych dla szaleńców nie było „najmniejszego przypadku obrażeń lub nieporządków". Zaprawdę rzecz dziwna, gdyż tak świetnym wypadkiem szczycić się nie mogą o wiele lepiej urządzone zakłady wiedeńskie. Obawiamy się, że autor widzi za różowo, a fakt wymowny wprawdzie, że w r. 1873 z liczby 307 leczonych w zakładzie żaden obłąkany nie popełnił samobójstwa, jeszcze go do tej pewności siebie nie uprawnia. Jednej tylko rzeczy nie pojmujemy: oto szan. autor do zadań oddziałów dla obłąkanych we Lwowie zalicza pomiędzy innemi i „przechowanie tych, którzy chociaż pozdrowieli, jednak z powodu popełnionych zbrodni pozostają na oddziale" (str. 273). Jeżeli to nie jest lapsus calami, mielibyśmy w Galicyi nagle coś nakształt angielskich criminal lunatics asylums lub paryskiego quartier de sûreté; lecz radzibyśmy dowiedzieć się, kiedy i na podstawie jakich przepisów zakład taki u nas urządzonyby został? O ile nam wiadomo, niewolno uleczonych trzymać w szpitalu, a okoliczność, że popełnili zbrodnię, wcale rzeczy nie zmienia. Albowiem jeżeli dopuścili się czynu karygodnego w stanie obłąkania, wtedy czyn nie może im być poczytany, a odsyła się ich do zakładu tylko przez wzgląd na bezpieczeństwo publiczne i własne; jeżeli zaś w zakładzie przychodzą do zdrowia, należy postąpić z nimi jak z każdym wyzdrowieńcem. Inaczej ma się rzecz, jeżeli zbrodniarz popada w chorobę umysłową dopiero podczas śledztwa

lub po skazaniu; w takim razie może a nawet powinien być przesłany do zakładu, jednak odzyskawszy zdrowie, wraca do więzienia; nigdy zaś ludzie zdrowi z powodu popełnionych zbrodni nie powinni pozostawać w zakładzie dla obłąkanych. Kwestya ta, powtarzamy, jest dla nas zagadką!

Sprawozdanie Dra Opolskiego jest bardzo staranne i zawiera pouczającą kazuistykę. Nie możemy się tylko zgodzić na podział chorób umysłowych przez szan. sprawozdawcę przyjęty, gdyż niestósowny ten podział wpływa niekorzystnie na wiarogodność cyfer statystycznych. Tak np. na oddziale pana O. znaczna stósunkowo liczba chorych cierpiących pomieszanie a nawet niedołęstwo umysłowe odzyskuje zdrowie; pochodzi to jednak ztąd, że sprawozdawca zalicza przypadki zadumy osłupnej, a więc choroby uleczalnej, między przypadki niedołęstwa, które jest chorobą nieuleczalną; niepotrzebnie też autor utrzymuje w całej mocy porzucony już oddawna podział niedołęstwa na trzy stopnie, ponieważ podział ten nigdy nie miał wartości naukowej, bo też nikt nie był i nie jest w stanie oznaczyć granicé tych stopni, a autor sam najlepiej stwierdza to nasze zdanie, nazywając te trzy poddziały niedołęstwa: głupkowatością, głupowatością i ogłupieniem. Na wstępie każdego działu chorób umysłowych autor uznał za stósowne podać uwagi ogólne, które jednak skreślone są zbyt pobieżnie i pospiesznie; wolelibyśmy, żeby tych uwag nie było, bo sprawozdanie zresztą wyczerpujące byłoby na tem zyskało. Natomiast przyznać musimy, że kazuistyka jest obfitą i dobrą; szkoda tylko, że autor nie rozpisał się obszerniej nad przypadkiem przewrotnego popędu płciowego (str. 305), więc nad chorobą, którą w nowszych czasach pierwszy Westphal w Berlinie, a za nim i inni opisali pod nazwą: „Conträre, perverse Sexualempfindung“, a mającą także wielkie znaczenie sądowolekarskie.

Pozostawiając ocenę reszty sprawozdań kolegom fachowym, zamykamy nateraz przegląd nasz i wynurzamy życzenie, żeby Dyrekcya szpitala lwowskiego odtąd rokrocznie sprawozdanie takie ogłosiła, a mamy niepłonną nadzieję, że na przyszłość zechce wypełnić luki, które przez wzgląd na wielką doniosłość wydawnictwa wykazać musieliśmy, spełniając przez to obowiązek konieczny acz przykry. *L. B.*

Poezye i powieści.

Przybylski Zygmunt: Poświęcenie, dramat w 1 akcie. Małe 8vo 59. Kraków 1875.

Feliks z Grodkowa, „1780“ obraz dramatyczny z faktów dziejowych, 97 str. 8vo Kraków 1875.

Eysymont F. M.: Walka idej, tragikomedya z dawnej przeszłości. 75 str. 8vo. Kraków 1875.

Ernesta Buławy: Utwory dramatyczne. Tom II, Joanna Grey, obraz tragiczny z XVI wieku w 5 odsłonach poprzedzony uweuturą. 8vo, 136 str. Lwów 1874.

Dramat bez nazwy obraz sceniczny w 5 aktach przez Bezimiennego autora. Uwieńczony 2gą nagrodą na konkursie krak. 1874/5. Przegląd polski z Maja 1875.

183] Gdyby w literaturze liczby rozstrzygały i dowodziły, jak w statystyce dowodzą, możnaby myśleć, że poezya nasza dramatyczna jest w dobie najświetniejszezo rozkwitu. W krótkim przeciągu kilku miesięcy 5 dramatów poważnych, nielicząc w to komedyj i nie mówiąc o licznych dramatach, które czytane na konkursach i przedstawiane nawet w teatrze, jednak dotychczas drukowanemi nie są. Atoli gdy weźmiemy jakość na uwagę, gdy się zaczniemy rozpatrywać w budowie i bliższych szczegółach tych utworów, jakież będzie nasze rozczarowanie!

Jeszcze dwa na początku wymienione, choć im daleko do arcydzieł, przynajmniej nie grzeszą przeciw głównym zasadom loiki, nie uderzają pięknościami, ale też nie rażą wadami i śmiesznościami. Pierwszy: „Poświęcenie“ przedstawia nam w pospiesznie naszkicowanej akcyi, w ramach jednego aktu, straszną tragedyą będącą skutkiem tej małej chyby w małżeństwie, że żona nie kochała męża, lecz mąż za to pokochał się w jej siostrze. Z zazdrości i rozpaczy żona w truciznie szuka wyjścia z trudnego położenia i znajduje je. „Es ist eine alte Geschichte...“ Ale mąż który dość miał braku sumienia, prawie cynizmu, żeby jawną swą niewiernością zatruć życie żony, teraz znów zbyt ma sumienia aby módz kochać dalej sprawczynię nieszczęścia. Pogardliwie odpycha siostrę żony; porzuca ją także konkurent, którego dopiero co przedtem odmówiła, lecz któremu teraz chciała rzucić się w ręce jako ostatniej nadziei. Ta, która bałamuciła cudzego męża, zostaje starą panną... Zaiste najsroższa kara jaką dla niej wymyśleć można. W ten sposób wszystko odbywa się po formie, każdego spotyka zasłużona kara. Lecz i przeprowadzenie równie konwencyonalne, wszyscy mówią to i tak, co i jak rozmawiają we wszystkich zwykłych sztukach teatralnych całego świata. Słowem po przeczytaniu nie zostaje najmniejsze wrażenie, nic pięknego w pamięci się nie wyryło. Jak akcya tak charaktery są naszkicowane z lekka, przytem dość nienaturalne, zwłaszcza Marya, młodziutka, wychowana przez dobrą zdaje się siostrę a występująca naraz z całym arsenałem namiętności, przewrotności i niemoralności, jakiego nagromadzenie innych wiele lat życia i pracy kosztuje. Dość przytoczyć jak ona szwagra nie chcącego z nią uciekać, do ucieczki namawia argumentem, że to dawno już zamyślała „aby miłość nasza potępiona przez ludzi, w Bogu i w obopólnem szczęściu znalazła swą ochronę.“ Ale co gorsze, że autor nawet bohaterce, nieszczęśliwej Anieli kładzie w usta teoryę tłomaczącą kłamliwą przysięgę małżeńską jak gdyby to coś całkiem niewinnego było. Czyby to zapatrywaniem było samego autora? Możnaby wnosić i z tytułu sztuki, który, jak się potem z treści dowiadujemy, ma oznaczać pójście za mąż za człowieka bardzo bogatego bez miłości tylko „dla ratowania familii.“ Szkoda tylko, że takie „poświęcenie“ jest rzeczą niestety zbyt częstą na świecie i ofierze wcale uroku nie nadaje, bo jej samej zwykle się nieźle opłaca.

184] Rok 1780 jest także w potoczne szaty dyalogowe ubranym epizodem z panowania Stanisława Augusta. Nie bez pewnego talentu narysowany obraz przedednia upadku ostatecznego Rzpltej, i moralnego upadku społeczeństwa. Rosya przez Stackelberga rozkazuje właściwie wszystkim, w stolicy tylko ciągła intryga, tylko bale i zabawy; a wszędzie rządzą kobiety. Jako obraz epoki wcale nie zły, jako dramat nie przedstawia ten utwór jednolitości, która by mogła z niego zrobić skoń-

czoną całość. Główna akcya, współzawodnictwo dwóch metres królewskich, zdetronizowanej ks. Sapieżyny i szczęśliwej Grabowskiej, ich intrygi, zawiści i kłótnie, doprawdy zbyt mały przedstawiają interes. Co nas obchodzi zwycięztwo Grabowskiej lub klęska księżnej, kiedy jedną i drugą pogardzamy od początku. Ani jeden charakter nie jest rozwinięty i zajmujący, prócz może młodego Kazimierza Sapiehy, szlachetnej choć słabej natury, a i ta postać wcale nie wycieniowana.

Przystępując do dwóch drugich dramatów jesteśmy w wielkim kłopocie od czego zacząć. Właśnie krytyka powinna by zważać na zewnętrzne akcesorya, na formę i przybory nie mające nic wspólnego z treścią. Jakże jednak nie mówić o akcesoryach kiedy są widocznie tak wysoko cenione przez samych autorów i tak charakterystyczne.

185] „Tragikomedya“ pióra p. Eysymonta, która powiedzmy w nawiasie nie zupełnie odpowiada lessingowskiej definicyi tego gatunku, rozpoczyna się szumną lapidarną dedykacyą aż dziewietnastu osobom „pokrewnym w duchu wiary“ (lubo kilka z tych nazwisk mogłoby tylko oznaczać pokrewnych w duchu niewiary) wypisanym na wstążeczce wijącej się w około motta. Dalej następuje strona cytat: z „Sonaty“ I Michała Anioła, z Juliusza Mien i „z mojego albumu.“ Z tego ostatniego dowiadujemy się że autor ma postanowienie wszystkie wielkie rzeczy jakiemi przepełnione jego dusza wyspiewać „zanim go złożą na zimnym(!) kobiercu.“ Po przedmowie w trójnoga wypowiadającej kilka znanych rzeczy i kilka niedorzeczności, zaczyna się rzecz sama. Głównemi aktorami są, kto? dwaj uczniowie 7 klasy, młodzi poeci; zawikłanie? jeden pokłóciwszy się z drugim nazwał go szpiegiem i.... podrapał „pazurami“ po twarzy. Fakt niesłychanie ważny i naprowadzający na rozmowy o upadku ludzkości, w które zręcznie wpleciono krytykę najnowszych pojawów naszej młodocianej czy młodzieńczej literatury i wycieczkę na Szkice społ. i liter. wychodzące od niedawna w Krakowie, z których nawet cały jeden artykuł jest wypisany i przypisany jednej z osób wchodzących w dramat. Wszystko zakończone improwizacyą à la Dziady, z tą małą różnicą, że język jej i wiersz tak jak zresztą w całym dramacie twardy jakbyś po grudzie jechał, treść zaś ta, że bohater przez całą scenę rzuca się, szarpie, chce mówić, lecz nie wie co.

Ja muszę spiewać!
Muszę!! póki życie wre w łonie...
Co mi jest? — Panie mój! — ja nie wiem.
(Stawia się i napół upada na odłam skały. Zasłona spada.)

Co mu jest i czego chce — i my nie wiemy. Lecz to wiemy, iż jest nadużywaniem wynalazku druku puszczać w świat takie brednie. Od nazwania ich, właściwem imieniem nieodwiedzie nas ani naiwnie zarozumiałe zapewnienie przedmowy o pośpiechu, dla którego autor „zaledwie kilka wieczorów i to dorywczo“ poświęcić mógł tej pracy, ani lekceważenie z góry zapowiedziane ludziom „niedobrym“ i krytykom coby się poważyli zaczepić „Walkę idej.“ Ani nam też nie w mówią wiary w jakąś głęboką treść dramatu zagmatwane filozoficzno estetyczne poglądy i zaręczenia, że choć fakt jest prawdziwym i nawet z własnego życia autora wzięty, atoli niechodziło mu ani o rzeczywistość ani o ludzi tylko o „ideje.“ Owszem im bardziej autor się tego wypiera, tem więcej chce się wierzyć iż „ideje“ są tylko płaszczykiem osobistej studenckiej polemiki, a „idealne“ typy osobistościami, ujemne nieprzyjaciół, dodanie przyjaciół autora, szczytnym zaś bohaterem sam autor.

Wyliczać szczegółowo usterki kompozycyi, błędy wiersza i polszczyzny (trza, scupić) prowadziłoby za daleko i na co się zda, kiedy autor na główny zarzut i tak odpowiedzieć nam może, że Dante przecie też swych nieprzyjaciół w piekło pakował; zamiast dłużej zarabiać na umieszczenie nas jako typu „idealno ujemnego“ w jakiej nowej „walce idej,“ wolimy powiedzieć na zakończenie własnemi słowy autora:

W górnych frazesach, śnieniach chorobliwych
Nieszczęście —... ładu ni składu nie widzę
..... i siebie się wstydzę,
Żem nawet końca nie mógł się dopatrzeć.

186] Pewne zewnętrzne podobieństwo łączy z powyższym utworem Obraz tragiczny Ernesta Buławy. Takiż sam aparat dewiz i cytat z autorów całego świata, „wezwań“ w formie lichego sonetu, przypisków na każdej niemal stronicy zwracających uwagę na historyczność tego lub owego faktu (jak gdyby tu o historyą chodziło!), objaśniających nas w jakiej galeryi znajduje się cytowany portret, a tych jest dużo; lub zawierających poglądy autora co do środków scenicznych, np. że spuszczanie zasłony w ciągu aktu dla zmiany dekoracyi jest „barbarzyńską wygódką;“ wreszcie dat, z których się dowiadujemy niezmiernie ważnej rzeczy, że dramat skończony został w Wróblewicach-Kropiwniku, w sierpniu 1864 r., noty zaś w Wrocławiu znów w innym miesiącu i roku. To wszystko musi już źle uprzedzać czytelnika, i zdaje się potwierdzać zdanie nasze wypowiedziane przy ocenie poprzedniego dramatu tegoż autora. Co do samej treści — jeżeli N. B. dramat jest oryginalnym pomysłem p. E. B. postowilibyśmy go bezwzględnie wyżej od „Karlińskich.“ Osnowa lepiej obmyślona, walka dumnego Northumberlanda, który popycha Joannę naprzód i aż w samą przepaść; chcąc tylko ożeniwszy z nią swego syna sam zawładnąć Angliją, walka jego z jeszcze dumniejszą Maryą jest nawet bardzo interesującem psychologicznem studyum. Cóż, kiedy przeprowadzenie tak nieopowiednie. Bohaterka — sam autor naiwnie czy zuchwale przyznaje to w objaśnieniach „jest raczej abstrakcyą niż kobietą, personifikacyą idei historycznej przewodniej w dramacie niż pojedynczą osobą.“ Tylko niestety zamiast z nim myśleć, że „w tem właśnie dramatyczność jej potężnieje o całe niebo“ (sic), my na ziemi widzimy owszem wielki brak, wadę, zwłaszcza w dramacie, który chce być ściśle historycznym. I jakiej to idei ona ma być uosobieniem? Mimo wszystkich protestacyj autora niepodobna oprzeć się wrażeniu, jakoby ona jedynie okazywać miała wyższość reformacyi nad katolicyzm. Inne postacie są może bardziej plastyczne; lubo ani królewna Marya, ani książe Somerset, ani Admirał Seymour, ani nawet Northumberland charakterami nazwani być nie mogą. Najwięcej jeszcze na tę nazwę zasługuje postać charakteru najmniej mająca, Edward II, w którego szlachetnych instynktach połączonych z fizyczną niemocą i brakiem woli jest coś hamletowsko przerażającego.

Alastor zaś syn kata, szczęśliwy wielbiciel Joanny

jest postacią tak dziką, że tylko w jakimś fantastycznym poemacie mógłby być na swojem miejscu. Autor jednak widocznie z zamiłowaniem go traktuje, a nawet jakby siebie samego przezeń dawał do zrozumienia używa go za pozór do wyjaśnienia swych zapatrywań na wielkość brzemienia, jakie dźwiga ten co jest muzykiem i poetą razem. Joanna powiada doń: „zowią cię waryatem? bo nie wierzą żeś artysta... gdy palić się będziesz własnemi pioruny, zgraja przeklęta mówić będzie: jak on mile przygrywa... ale ty pogardź — odwróć się od nich i utoń w sobie!“

W podobnym stylu pisana cała sztuka żeby tylko jeszcze przytoczyć: „w sieciach piorunu na czarnem niebie leci chmura orłów by roztargać świat.“ Lecz autor nie tylko lubuje się w patetycznym tonie ale i w dziko patetycznych sytuacyach. Zkąd i poco owa scena na cmentarzu gdzie Holbein rysuje szkielety a Alastor przyszedłszy natrafia właśnie na wygrzebywanie trupa dla zrobienia miejsca nowemu grobowi i przekonywa się, że wygrzebane zwłoki to jego matka. Najdzikszym zaś jest pomysł, że ten, który ścina Joannę w końcu sztuki, jest to właśnie jej adorator i poeta Alastor, który — dziwna igraszka losu! — jako syn kata musiał odziedziczyć po ojcu to rzemiosło; a co najdziwniejsza, to że dopełnia on tego aktu z wyraźnej woli Joanny, która tylko z rąk swego kochanka zginąć chciała. Te wszystkie ekstrawagancye pomysłów i stylu przybrane są w język zaniedbany i niepolski.

Dość będzie podnieść: wdowej jako dativus, zaszłapać na starość, trza, stale zamiast trzeba, i frazesy z not wyjęte jak: życie jak dla ironii kończone w trumnach Compostelli, lub: rymowano nieraz dwie zbrodnie sióstr koronowanych, Elżbiety, z Maryą Sztuart i Maryi Tudor I. Grey. Rymowanie ma tu znaczyć porównywanie. To już raczej można powiedzieć że p. E. B. próbuje w tym dramacie rymować zbrodnię Maryi Tudor. Trzeba bowiem dodać, że mowa jest tu naprzemian prozaiczną i wiązaną, a tę ostatnią znów przeplatają miejscami ustępy rymowane. Ale jakie rymy! Najczęściej zgadzają się te same formy czasowników: kochała — oddała, kochałeś — dodałeś — posłałeś; a kiedy dla odmiany wprowadza autor inny rym, to spotykamy znajomy nam jeszcze z Karlińskich: końca słońca.

187] Na osłodę tej smutnej wędrówki literackiej wspomnijmy w końcu jeszcze o dramacie, o którym pisało tak wielu. Co do tendencyi jego powiedziano już pro i contra wszystko co było do powiedzenia, a nawet więcej niż było i użyto go skwapliwie jako corpus delicti do podniesienia wzajemnych oskarżeń i nie nowych waśni. My niemożemy się na to zgodzić, żeby wrażenie jakie „Dramat bez nazwy“ pozostawia, było jedynie ujemnem. Owszem obok egoizmu i brudu z jednej strony tyle tam z drugiej błyszczy szlachetności i poświęcenia, tyle miłości która nie w intrydze, lecz w prawości, cnocie i religii wskazuje jedyną dla nas nadzieję, że czytelnik nie uprzedzony tylko z podniesionym duchem zamknie książkę. Z tego już powodu pozostanie ten dramat wybitnym pomnikiem moralnego odrodzenia się, czy usiłowań naszej epoki. Jednak i z estetycznego stanowiska — o którem jakoś powszechnie zapomniano — powinien „Dramat bez nazwy“ znaleźć w literaturze miejsce niepoślednie. Niema dość ruchu, za wiele rozprawiania a za mało akcyi, rozwiązanie odbywa się po za sceną a my tylko jakby przez refleks o niem się dowiadujemy; to prawda. Scenicznem arcydziełem dramat ten nie jest zapewne, i nie ma zawikłania à la Sardou lub Feuillet. Lecz czyż za tym pozornym brakiem życia nie czujesz najgwałtowniejszych uczuć tętna, czy ten zewnętrzny jakoby spokój — czytelnika nie porusza do głębi? Jest to przeraźliwy spokój powierzchni wody, która ciemną przepaść kryje. Bez głębokiej sztuki tragedyi greckich, robi wszystko razem wrażenie powiedziałbym podobne do tamtych. N bo prawda ma swoje prawa, i właśnie przez swą rzeczywistość bywa czasem tragiczniejszą od najmisterniejszej poezyi. Któż zaprzeczy efektu wysoce dramatycznego scenom takim jak szydercze ofiarowanie z czołobitnością podarunku od chłopów tym, których dopiero co z całego mienia ogołocili, lub spotkanie matki w 4 akcie z p. Jakóbem wracającym z aresztu, albo scenie aresztowania p. Jana, nie mówiąc już o całym akcie 5 który dreszczem cię przejmuje od początku do końca, choć niby wszelkie silniejsze efekta są starannie unikane. Niech mówią co chcą, takiej prawdy, takiego portretu niepotrafi zrobić prosty fotograf. Prócz znajomości optyki trzeba mieć gorące serce i wiele zapału.

Zresztą i główne warunki budowy dramatu są wszędzie zachowane i przy analizie dałyby się z całą ścisłością wykazać. A co najważniejsza, że charaktery są, taki pełen czystego zapału dla dobrej sprawy Juliusz, taki nikczemny Jozafat, Zdzisław niemający własnego zdania, w gruncie bojaźliwy samolub, taki nawet Jan który niechcąc przyłożyć ręki do czynu zgubnego, słowem i biernym oporem tylko walczy z przeciwnym prądem, z męztwem „żołnierza któremu do ostatniej chwili stać każą nieruchomie pod bronią, choć kule naokoło padają“; i matka i Lincia i podle przezorne Agata i Nina to nie są maryonetki, to charaktery wybitne, i z całą konsekwencyą przeprawadzone. — O tem pamiętając sprawiedliwiejby dramat osądzono.

S. Tz.

Rocznik zarządu Akademii umiejętności w Krakowie. Rok 1873. w Krakowie 1874. Str. 191. 8vo.

Rocznik zarządu Akademii umiejętności w Krakowie. Rok 1874. w Krakowie 1875. Str. 191. 8vo.

188] 189] Z nadejściem wakacyj zawiesiła Akademia na dwa miesiące swoje czynności. W braku przedmiotu do miesięcznych sprawozdań, które pismo nasze pod tytułem „Ruch naukowy w Akademii umiejętności“ stale podaje, spróbujemy rzucić okiem całość dotychczasowej dwuletniej już pracy przez Akademię podjętej. Uczynimy to na podstawie roczników, których treść dałaby się podzielić na cztery kategorye:

1. Statut — regulaminy — pisma urzędowe i korespondencya. 2. Skład akademii — poczet członków, ich biografie z wykazem prac naukowych przez każdego z nich ogłoszonych. 3. Wykaz stanu i użycia funduszów. 4. Zdanie sprawy z ruchu naukowego.

Wszystko to ujęte w trzeźwą i zimną formę dat i paragrafów, od której nie odstępują nawet sprawozdania w dziale czwartym podane, chociaż te ostatnie wyszły z pod znanego skądinąd ze swej werwy i polotu pióra sekretarza generalnego Akademii. Nie inne wrażenie robią zapewne na ogóle publiczności naszej i same publikacye akademii — pamiętniki i rozprawy — nie mówiąc o materyałach wydanych przez komissye historyczną i fizyograficzną. Kiedy przypomni-

my sobie ową chwilę, w której Najjaśniejszy Pan Akademię powołał do życia, kiedy przypomnimy sobie ów obraz, w jakim przyszła akademia przedstawiała się ogółowi publiczności naszej, to widzimy, że ogół ten doznał prędkiego rozczarowania. Wyobrażano sobie dość pospolicie Akademię jako najwyższą instytucyę, która rzadkim wybranym wkładać będzie laur nieśmiertelności na głowę, która najwyższym wyrokiem rozstrzygać będzie najtrudniejsze kwestye naukowe, która nieodwołalnie nacechuje stanowisko nauki polskiej ze stanowiska względów politycznych, społecznych, religijnych a przedewszystkiem narodowych, która na posiedzeniach swych publicznych rzuci pełną garścią myśli głęboko naukowych a popularnych, błyśnie wytwornością języka i dowcipem. Takie zadanie zakreślano Akademii, zapytywano się tylko, czy znajdziemy ludzi, którzyby je godnie zdołali podjąć. Rachowano przyszłych akademików pomiędzy głośniejszymi uczonymi polskimi. Do liczby czterdziestu nieśmiertelnych Akademii francuskiej nikt w rachubie swej doprowadzić nie mógł. Ograniczano więc liczbę akademików polskich do trzydziestu — do dwudziestu czterech. Dwadzieścia cztery znakomitości naukowych u nas, rozumowano, przecież powinno się znaleść. Aż tu statut Akademii oznacza liczbę akademików na siedemdziesięciu dwóch, nie licząc trzydziestu sześciu korespondentów. Wielu wzięło to za próżność niedodarowania, położyło na karb wzajemnej admiracyi i względów.

Po tym pierwszym zawodzie prędko nastąpiły inne. Po dniu 4 Maja 1874 na posiedzeniu publicznem sala Akademii nie mogła pomieścić tłumnie cisnącej się publiczności. Ciekawość panowała wielka. Aż tu zamiast chwytających za serce przemówień nastąpiło skreślenie przeszkód, z jakiemi miała do walczenia Akademia w pierwszych swych krokach i wyliczenie prac dokonanych w ciągu pierwszego roku. Rzecz wydała się tak suchą, że połowa ciekawych opuściła salę, dając za wygraną klassyczny w swej formie i treści odczyt prof. Małeckiego o stanowisku uniwersytetu Jagiellońskiego wobec soboru Bazylejskiego. Z pomiędzy tych którzy pozostali, wielom odczyt wydawał się nader nie w porę — odezwały się po pismach głosy wietrzące w akademii: Döllingerianizm.

Cóż dopiero, kiedy Akademia nie rozstrzygnęła odrazu kwestyi pisowni, nie wysłała żadnej expedycyi na obserwacye zaćmienia słońca, nie napisała zaraz historyi Polski, nie wydała żadnych pamiętników XVIIgo lub XVIIIgo stulecia, nie przekonała Niemców, że Kopernik był Polakiem, nie potępiła Darwina a o odczycie p. Duchińskiego wyraziła się w Sprawozdaniu że „ani treść wykładu ani metoda nie były tej natury aby dopuszczały walną o samąż zasadę dyskussyę, gościnność skłoniła wszakże wydział do rozprawy nad przedstawionym przedmiotem, która ograniczała się do podniesienia tej lub owej wątpliwości, wykluczała zaś z góry wszelką kwestyę przystąpienia lub przyjmowania zasad, przedstawionych jej w formie i metodzie, do której jako niedość ścisłej, przedmiotowej i spokojnej nieprzywykła".

W tym kierunku następował zawód po zawodzie, ale oczywiście tylko dla tych, którzy od początku z celu i z prawdziwego zadania Akademii nie zdają sobie sprawy i dotychczas trzeźwemu zapatrywaniu bronią do siebie przystępu.

Czyż bowiem można nazwać rozsądnem mniemanie, że Akademia powinna być jakąś naukową instancyą, któraby rozstrzygała spory na polu umiejętności i w ogóle w sprawach tych zajmowała pewne oznaczone stanowisko? Byłaby to próżna zabawka, którą nazajutrz jedno dzieło, jedna broszura mogłyby obalić i okryć wstydem. Na polu umiejętności głosy ani się liczą ani ważą; jeden pracownik odkrywa pospolicie zasadę, o której wynalezienie całe grona naukowe napróżnoby się kusiły.

Łatwego rozgłosu, który by jej dały posiedzenia publiczne odbywane na wzór Instytutu francuskiego, zrzekła się Akademia nasza, i słusznie. Co we Francyi, gdzie życie naukowe oddawna na taką skalę jest rozbudzonem a umiejętność w mnóstwie instytucyj naukowych szerokie znajduje pole, jest przyjemną i pożyteczną zabawą, u nas wśród dzisiejszych stosunków byłoby rzeczą szkodliwą i niebespieczną. Usiłowania nasze na polu naukowem w ostatnich latach podejmowane cierpiały niezmiernie na tem, że zostawały nieustannie pod wpływem chwilowych dążeń społecznych i politycznych. Z pod wpływu tego muszą się one wyswobodzić, same w sobie skupić i zdobyć grunt samoistny, zanim będą mogły w jakimkolwiek kierunku wystąpić. W tem wyswobodzeniu nauki z pod zewnętrznych tak szkodliwych wpływów leży pierwsze zadanie Akademii. Zadania tego trzyma się też ona z podziwienia godną wytrwałością, chociaż to naraża ją na nierozsądne krzyki, chociaż to chwilowo zobojętnia dla niej ogół naszego społeczeństwa i pozbawia ją materyalnego, pieniężnego poparcia, jakiego gdyby hołdowała pewnym kierunkom, mogłaby się o wiele prędzej spodziewać. (Ciąg dalszy nastąpi).

Spis nowych książek nadesłanych redakcyi.

Baudouin de Courtenay: Опыт Фонетики Резьянскихъ Говоров. Warszawa i Petersburg 1875. Str. 128. 8°.

Baudouin de Courtenay: Резьянскій катихизис. Warszawa i Petersburg 1875. Str. 48. 8°.

La France et les Polonais-aperçu historique depuis le dixième siècle jusqu'à nos jours. Strasbourg, 1875. Str, 164. 8°.

Goralczyk, Kazimierz: Najnowszy i najprawdziwszy wykład snów czyli sennik oraz najnieomylniejszy sposób wygrania na każdej loteryi. „Czytelnia ludowa" książka I. w Krakowie nakł. Czytelni ludowej A. Nowoleckiego. Str. 149. 8°.

Grabowski, Bronisław: Mściwój i Swanhilda. Tragedya w 5 akt. we Lwowie 1876. Str. 100. 8°.

Jaworowski, Antoni: Przyczynek do znajomości budowy i właściwości wełny. Poznań 1875. Str. 71 i 4 tabl. 8°.

Kasznica, Józef: O stosunku prawoznawstwa do innych nauk. Warszawa 1875. Str. 26. 8°.

Dr. I. F. Klun: Geografia powszechna podręcznik do nauki w szkołach średnich przetłomaczony podług 16go wydania i uzupełniony z zastosowaniem nowych miar i wag austr. opracowali Ludomił German i Romuald Starkel we Lwowie, nakł. K. Wilda. 1875. Str. 336. 8°.

Krasuski, Michał: Rzut oka na układy planetarne, przyszłość człowieka i ziemi, we Lwowie u K. Wilda. 1874. 8°.

L. D. L. Zaburzenia w Rzymie spowodowane przez Grachów. Stanisławów. 1875. Str. 54. 8°.

L. D. L.: Historya kraju rodzinnego dla klas niższych c. k. szkół średnich galicyjskich, w Krakowie 1875. Str. 189 i VI. 8°.

Libelt, Karol: Filozofia i krytyka Tom VI. Estetyka część IIga. Drugie wydanie. Poznań nakł. Żupańskiego. 1875. Str. 282. 8°.

Petion, Eustachy: O konserwacyi drzewa. O pożarach i ogniotrwaleniu dachów. O wyrabianiu sztucznych kamieni. Lwów. 1875. nakł. księg. polskiej. Str. 19. 8°.

Rostafiński, I: Quelques mots sur l'Haematococcus lacustris et sur les bases d'une classification naturelle des algues chlorosporées. Cherbourg 1875. Str. 20. 8°.

Sceny sejmowe. Grodno 1793 przez Bolesławitę. Poznań 1875. Str. 171. 8°.

Wydawca: Adolf Otremba, księgarz. Druk W. Korneckiego. Odpowiedzialny redaktor: Prof. W. Zakrzewski.